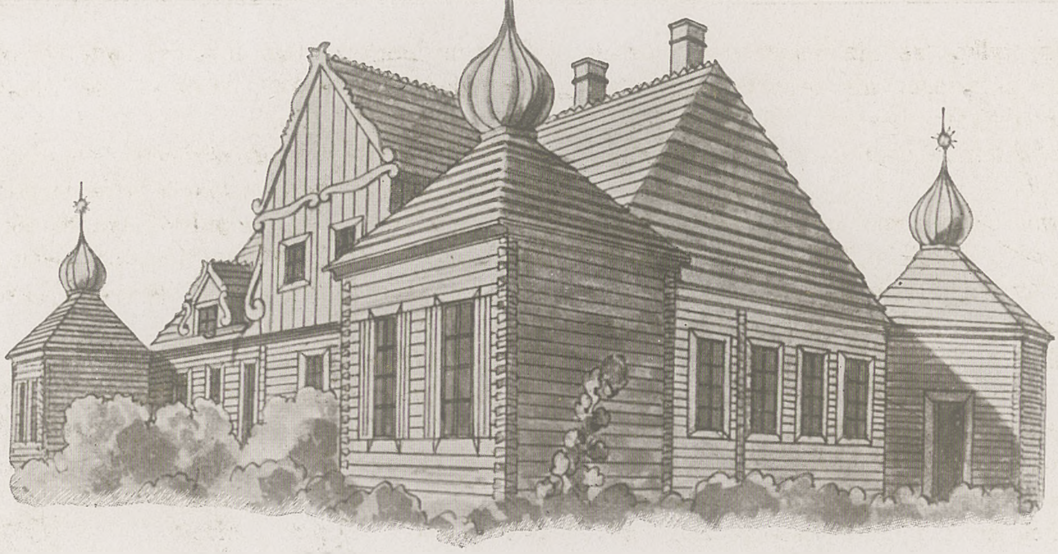
ROK II. WARSZAWA, DNIA 30 WRZEŚNIA 1913 ROKU. ZESZYT XVIII.

Wieś i Dwór

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.



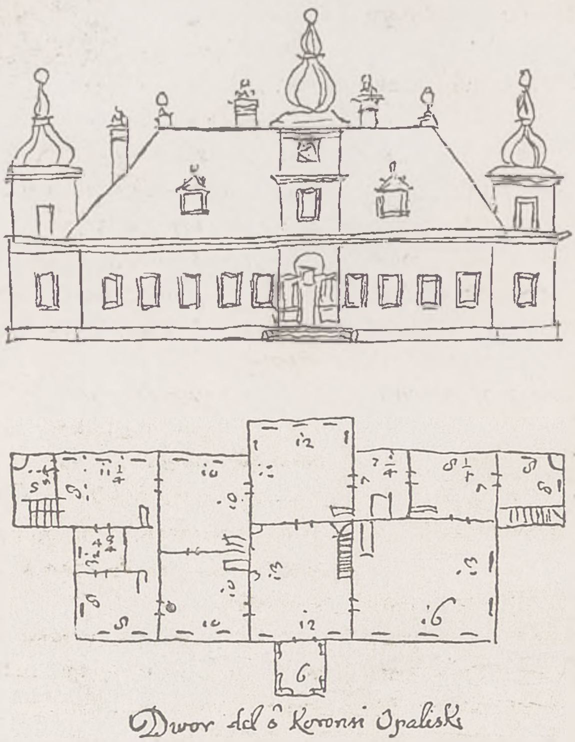
Stefano Della Bella. HUSARZ POLSKI.



Dwór modrzewiowy w Czarnożyłach. Wewnątrz powała belkowana. (Wiek XVII).

Z przeszłości dworka polskiego.*)

Mamy już spory zasób polskich architektów, którzy twórczo pracują nad odtworzeniem odrębnego typu architektonicznego polskiego dworka, nie tego obronnego, z ostrokołem i palisadą, lecz tego, który odpowiadałby dzisiejszym mieszkalnym typom, angielskich podmiejskich budynków, zamieszkałych przez średnio-zamożne rodziny.



Dworek Opalińskich, według szkicu Gastona Chiaveri.

Coraz bogatsze i liczniejsze są plony konkursów i architektoniczne rozwiązania znane nam z zeszłorocznej wystawy krakowskiej, wykonane przez wybitnych warszawskich architektów, jak Gut, Kalinowski i Przybylski, krakowskich artystów, jak Czajkowski, Dąbrowa, Frycz i zasłużony wielce redaktor „Architekta" i założyciel Towarzystwa „Polska sztuka stosowana", Jerzy Warchałowski.

Artyści i architekci polscy w opracowaniach swoich uważają za jedyny i specyficzny charakter polskiego dworku, mansard polski (dach podwójnie załamany), ganek słupkowy, narożne alkierze, wszystko z wyraźnie naznaczoną w konstrukcji i zdobnictwie fizjognomją baroku.

Przy wykonywaniu projektów, tworzeniu budowli nowych, architekci nasi nie wychodzą poza epokę baroku ze schyłku XVIII stulecia.

Historja mieszkań polskich, dzieje architektury polskiej w najbujniejszej epoce Odrodzenia — jest dotychczas nieopracowaną.

Jak wyglądał dworek polski za czasów Mikołaja Reja i Jana Kochanowskiego, to dotychczas dla nas „tabula rasa".

Fakt ten jest bolesną luką w literaturze naszej historycznej, tem smutniejszą, iż Francuzi, Niemcy i Rosjanie mają już wyczerpujące, naukowo opracowane, dzieła o rozwoju swojskiego budownictwa.

Muzea niemieckie w Norymbergji i Monachjum, szwajcarskie w Zurychu posiadają dokładne rekonstrukcje wnętrz, skomponowanych na podstawie historycznych fragmentów, epoki romańskiej, gotyckiej i Odrodzenia. W narodowem muzeum bawarskiem, szereg wnętrz izby mieszkalnej wieśniaczej dokładnie odtwarza wpływ i oddziaływanie na zdobnictwo różnych epok i stylów od gotyku począwszy.

---

*) Patrz przyp. red. na str. 8-ej.

My zaś nie tylko, że nie mamy rekonstrukcji wnętrza dworku polskiego, ale też spotykamy się z jednogłośnym chórem naszych badaczów przeszłości, iż niewiadomo wogóle, jak mieszkaliśmy przed laty 150-ciu.

Zwane powszechnie przez beletrystyków i poetów „starożytnymi", dworki szlacheckie, nie sięgają wiekiem poza XVIII stulecie i noszą na sobie wybitne piętno wpływów pałaców, stawianych w połowie XVIII wieku w Warszawie przez francuskich architektów.

Że mieliśmy własne, odrębne budownictwo dworków, na to naprowadzają nas liczne wzmianki kronikarskie i zabytki bogatej sztuki ludowej, zwłaszcza podhalańskiej, która zdaniem zasłużonego historyka sztuki polskiej, Kazimierza Mokłowskiego jest starożytnem wspomnieniem architektury drewnianego dworku polskiego z czasów romańszczyzny i gotyku.

W chacie włościańskiej szukać należy zaginionego w pomroce dziejowej panującego dawniej piękna, *gdyż włościański cieśla i snycerz budował koleby nietylko dla siebie, lecz i dla szlachcica!*

W kościołkach, bóżnicach, pochodzących z dawnych epok odnaleźć możemy ślady tego stylu, który ongiś panował wszechwładnie w szlacheckim dworku.

Krótkotrwałość i zaguba śladów dawnej polskiej architektury, tłumaczy się głównym i jedynym jej materjałem t. j. *drzewem.*

Wszystkie budynki w dawnej Polsce były drewniane.

Przypowieść o Kazimierzu Wielkim, iż „zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną" tyczy się wzniesienia kilkunastu zameczków obronnych (fortalicjów) i budowli miejskich kościelnych i świeckich Krakowa. Przesąd pod tym względem panował tak dalece, iż pewien szlachcic, który odziedziczył dobra w Toskanji zabrał ze sobą cieślę polskiego do Włoch, aby w „murowańcu niezdrowym" nie mieszkać.

Nawet zamek krakowski był do roku 1306 drewniany. Kronikarze wspominają, że w r. 1125 pożar zniszczył w Krakowie wiele *drewnianych, ale ozdobnych budynków.*

Z. Gloger w „Encyklopedji rolniczej" opowiada, że „Malaspina bonończyk, przybywszy do dworu pana polskiego, widząc dom pięknie zbudowany powiedział, iż nigdy nie widział *stosu drzew* porządniej ułożonego i bał się wejść do środka, rzęsiście oświetlonego, utrzymując, że w takiej kupie drzew strach być razem z ogniem". *Ileż to Polski*— mówił — *spali się za lat kilkadziesiąt, jak drzew tyle"*...

Że sprawa rekonstrukcji dworku szlacheckiego w jego najistotniejszej formie jest jeszcze nierozwiązanym problemem, tego dowodzą sądy najpoważniejszych badaczów naszej kultury, nie zgadzających się z sobą w tej kwestji.

Prof. Władysław Łuszczkiewicz twierdzi: „... typem swojskiego budownictwa szlacheckiego ma być modrzewiowy dwór staropolski; typ to niezmienny przez wieki, który poezja i literatura uświęcić pragnęła, a świat zna z tych nielicznych okazów, budzących gdzieś tam w zakątkach kraju poszanowanie, mniemaną swą starożytnością; właśnie dlatego, że z typem tego rodzaju spotykałem się niejednokrotnie w wycieczkach po kraju i że w typie tym *nie znalazłem warunków artyzmu,* wyrosłych z tradycji, która powinna się była wyrobić, zrodziło się u mnie powątpiewanie, azali ten dom modrzewiowy może być uważany, jako rzecz godna uwagi historyka sztuki.



Dawne typy szlacheckie oraz typy służby rękodajnej szlacheckiej, z gobelinu XVIII w. z fabryki Radziwiłłów w Koreliczach.

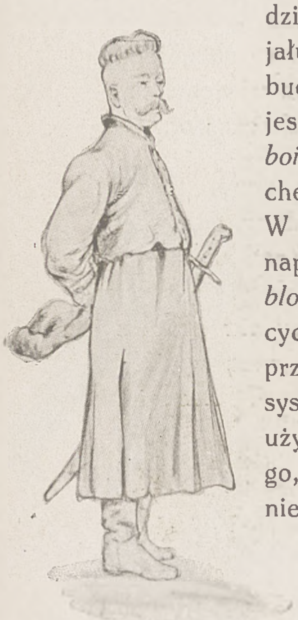
„Dlatego zapragnąłem pracy badawczej nad pomnikami pomieszkań szlacheckich wszystkich jakieby się znalazły epok, wyprzedzających dwory modrzewiowe.

„Nabyłem bowiem przekonania, że o ile nie posiadają one warunków piękna sztuki, któreby dozwalały porównać nawet z pozostałymi zabytkami drewnianej architektury miasteczkowej o tyle szczegółami stylowymi przypominają conajwięcej *czasy Augustów i epokę baroka; starszych dotąd nie napotkałem.*

„Ten widoczny brak tradycji sztuki w tych dworkach modrzewiowych był przerwany przez inne na czasie prądy budownicze. Musiała zajść jakaś przerwa w rozwoju budownictwa drewnianego dworów szlacheckich między epoką średniowieczną, w której budowle miały swój niezawodnie styl a wiekiem XVII-ym, z którego mamy *bezstylowe zabytki.*

„Stało się to w XVII stuleciu skutkiem zapanowania architektury ceglanej, lub kamiennej już to ostatnich chwil ostrołuku, już to renesansu.

„Jeżeli zarzucam temu drewnianemu budownictwu dworków staropolskich brak charakteru artystycznego to dla zasady konstrukcyjnej, która pięknej sztuki wydać nie może. Są szczęśliwe kraje, w których dzięki zasadzie i przy obfitości materjału rozwinęło się na wysoką skalę budownictwo drewniane. Tą zasadą jest system ramowy t. zw. *de pans bois* i wątek, taki budowy, jak szlachetny dąb, lub inne twarde drzewo. W naszych zabytkach tego systemu nie napotykamy, przeważnie panuje system *blokhausowy,* z pniów poziomo leżących na sobie i wiązanych w zrąb przez zacięcie na węgłach, czyli t. zw. system *d'empilage.* Do takiej budowy używa się drzewa z rodzaju większego, jak modrzew, sosna, jodła; dębu nie używa się z powodu twardości.



„Takie poziome układanie ścian z belek poziomych sprzeciwia się pojęciu piękna (?) wynikłego w architekturze z wyrażenia formami życia statycznego.

„Niema w tem budownictwie kolumn, gzymsowań frontonu, niema ornamentacji roślinnej, lub figurowania. (?)

„Budowane są na zrąb nietylko nasze chaty chłopskie, lecz kościoły, cerkwie i bóżnice, nawet domki mieszczańskie; wszystkie mają zasadę, która jest bezpłodna. Ta odrobina ozdobności, którą spotykamy obok tego zrębu surowego, jest do pewnego stopnia, powzięta z szlachetniejszego systemu ramowego, lub jest naśladownictwem w drzewie forsowanem architektury murowanej. Do pierwszego należą podsienia domów, cokóły w kościołach wiejskich, do naśladownictwa form kamiennych—kopuły wspanialsze cerkwi ruskich.

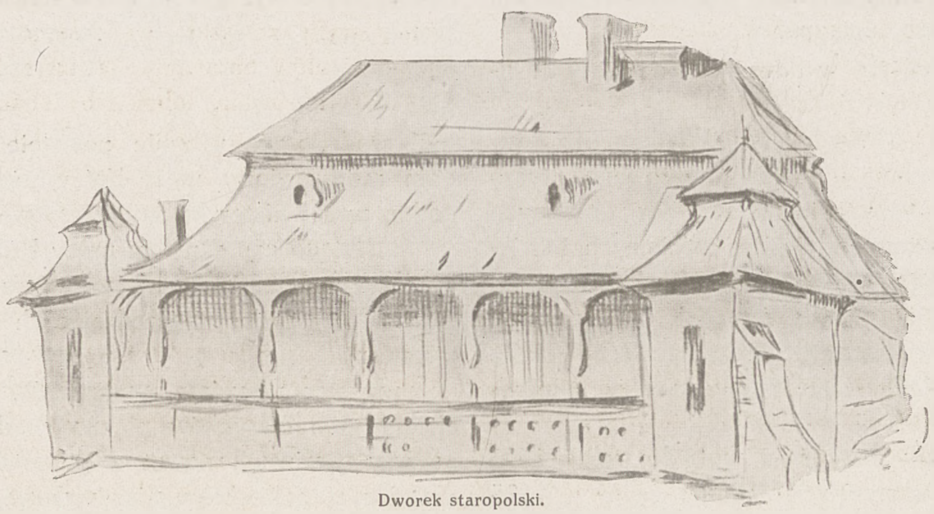
„Musimy uznać słusznem twierdzenie, iż dwory szlacheckie w epoce średniowiecznej, jeźli miały swój styl, musiały być budowane w systemie ramowym, jedynie możliwym do przyjęcia (?) piękna architektonicznego, musiały się posługiwać klocami i deskami dębowemi. *Należy się domyślać* artystycznego pojęcia w budownictwie średniowiecznem drewnianem w Polsce.

„*Pomniki zaginęły,* ale badacze odszukując wpływów dawnego pojęcia na rozwój form kamiennych ostrołukowych, tem samem dowodzą istnienia pomników. Formami drewnianego budownictwa oddrzwi dają się wytłomaczyć nasze wczesne renesansowe świeckie kamieniarskie prace.

„Przypisując obyczajowi zamieszkania murowanych dworów przez szlachcica w epoce powyżej wskazanej, zgubienie tradycji, sądzę, że wpływy wyższych kultur dały zapomnieć o drewnianej architekturze. Zjawia się ona z powrotem w epoce biedy po wojnach szwedzkich, obok pałaców, jako mieszkanie ubogiego szlachcica, lub w okolicy gdzie o rękodzielnika i budowniczego ciężko było."

Twierdzeniom prof. Łuszczkiewicza gwałtownie sprzeciwia się Tadeusz Mokłowski mówiąc:

„Wykształcony na zabytkach budowniczych niemieckiego, francuskiego i angielskiego Zachodu, prof. Łuszczkiewicz, gdzie w drzewie po wszystkie czasy ryglówka panowała i panuje, nie może się pogodzić z istniejącą w Polsce wieńcówką, uważając ją *błędnie,* jako system budowniczy zupełnie się do rozwinięcia nie nadający. Jużby go ozdobność i artystyczne wyrobienie domostw skandynawskich i wspaniałych górskich szaletów szwajcarskich w *wieńcówce* stworzonych, powinno zwrócić z błędnego kierunku".

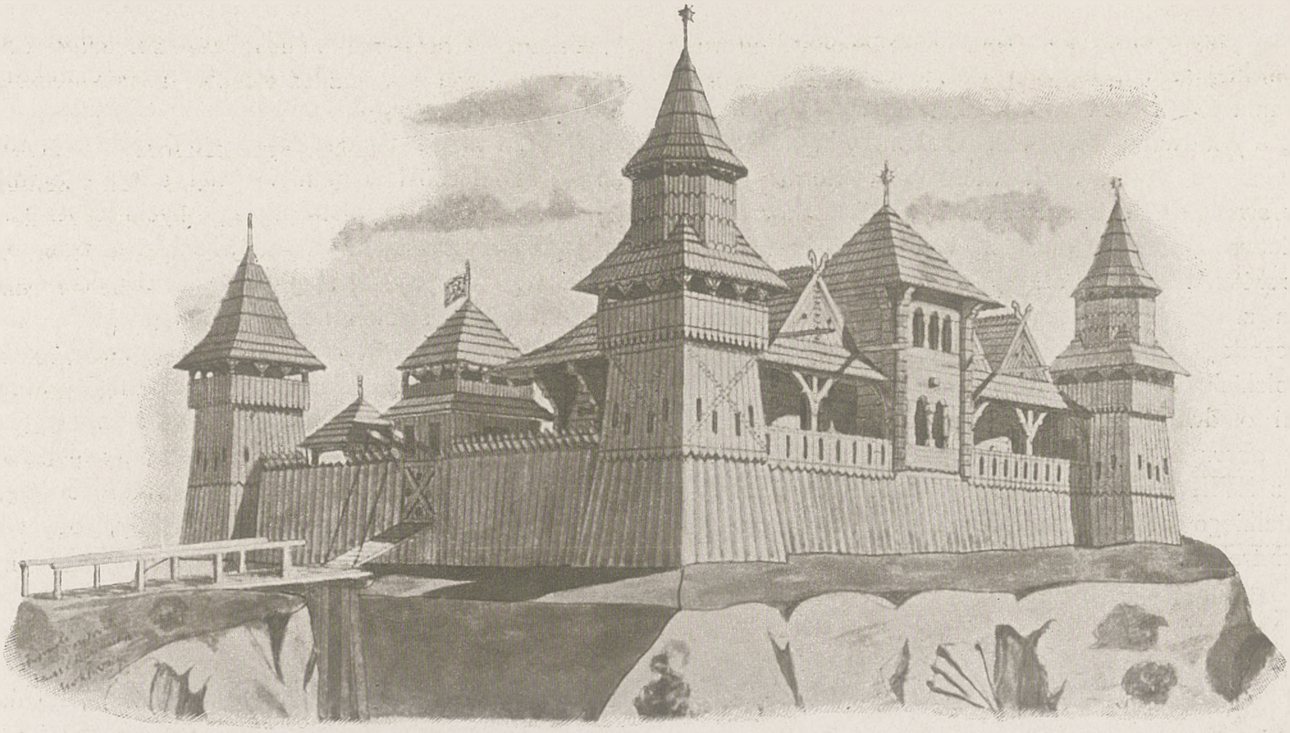


Dworek staropolski.

Z Mokłowskim zgadza się Zygmunt Gloger, oświadczając:

„Tak z inwentarzy, jak z kilkuset innych źródeł, które z wieku XVI i XVII mieliśmy w ręku, lub posiadaliśmy, widać jasno, że całe budownictwo dworów wiejskich w dawnej Polsce *było od początku drewniane* i że rozwijało się bez żadnej przerwy i epoki przełomowej, jaką przypuszcza prof. Łuszczkiewicz."

Jedynem naukowo poważnem źródłem informującem nas rzetelnie jak wyglądały dworki polskie przed XVIII w. są akta grodzkie i ziemskie, zawierające inwentarze dóbr szlacheckich. W aktach tych



Widok idealny zameczku drewnianego polskiego. (Odtworzyli i rysowali Kazimierz i Tadeusz Mokłowscy).

spotykamy się z nazwą *„fortalitium“*, oznaczającą obronny, obwiedziony ostrokołem lub okopem, drewniany dwór szlachecki. *Fortalitium muratum* i *arx* spotykamy tam, gdzie chodziło o prawdziwie obronny zameczek, zwykle wielkopańską siedzibą.

Jako typ takiej obwarowanej siedziby szlacheckiej posłużyć nam może rezydencja wojewodziny mścisławskiej Kiszczyny, w Ożomli.

Sam dwór drewniany i jego główne podwórze obwiedzione było wysokim częstokołem z silnych dębowych palów u góry zaciosanych, niby groty dzid. Dwór opatrzony był drewnianemi basztami o 4 sążniach wysokości z szczytami zakończonymi strzelniczkami.

To był pierwszy krąg warowni. Za nim szło podwórze gospodarskie otoczone dokoła t. zw. tynem, to jest bardzo mocnem ogrodzeniem, poza którem opasywały i zamykały cały obszar siedziby--wał wysoko usypany i głęboka fosa.

Bardzo okazałym pod względem architektonicznym i obronnym był, według opisu przemyskich aktów grodzkich, dwór starosty przemyskiego Madalińskiego w Drozdowicach. *Samborze* (obronna brama, z pomieszczeniem dla warty) zamykała wjazd do okopu i stanowiła niejako piątą basztę. Dwoje wrót wielkich, żelaznymi ćwiekami nabijanych, na sporych żelaznych czepach, miało potężne wrzeciądze, które odsuwano tylko w potrzebie, zwykle wchodząc i wychodząc małą furtką. Po obu stronach tej bramy znajdowały się komory dla chowania sprzętów. Na samych zaś wrotach i przylegających komorach wznosiły się dźwigary, na których znów wznosiło się piętro t. j. izba z drzewa jodłowego pod hebel ciosanego o pięciu oknach, każde okno na 2 łokcie wysokie a na $1^1/_2$ łokcia szerokie. Okna miały szyby ze szkła weneckiego, rżniętego w cegiełki w ołów oprawne. W izbie był piec gdański i komin murowany, obok izby alkierzyk. Dwór ten nie miał piętra mieszkalnego; piętro jego stanowiła kaplica, do której się wchodziło schodami z olbrzymiej sieni ogrzewanej dwoma kominami. Kaplica ta jako piętrowy fronton, nadawać musiała dworowi formę okazałą i wielce malowniczą. U głównego wejścia do dworu był ganek podjazdowy, nazwany w akcie „wystawą“, składający się z kilku dębowych słupów i obwiedziony dokoła galerją z balasów a na tych słupach spoczywała, jakby logja lub wykusz, kaplica, również galerją z balasów otoczona. Miał więc ten fronton drozdowieckiego dworku dwoistą galerję, rodzaj piętrowej ciesielskiej kolumnady, która nadawała mu bogatą a lekką i jakby koronkową artykulację a jeśli dodamy do tego, że kaplica uwieńczona była bardzo misternym i ozdobnym chełmem, w troistą banię z blaszanym powietrznikiem, jak to zapisuje lustracja, to będziemy mieli wyobrażenie, jak malowniczo wyglądał dwór drozdowiecki. Lecz nie sama wystawa z kaplicą stanowiła jego oryginalność architektoniczną. Dowiadujemy się dalej z opisu, że dwór ten miał okap suty wiązany, bo czytamy „że ciężar dachu nie na budynku ale na wiązaniu dokoła budynku uczynionem leży“, a przypuścić możemy, że to wiązanie

nastręczyło cieśli pole do pokazania całej swej ciesielskiej sztuki, która w Polsce celowała w profilowaniu i dekoracji swego materjału.

Władysław Łoziński, znakomity autor „Życia polskiego w dawnych wiekach", twierdzi również w swem dziele, iż doszukiwanie się śladów budownictwa dworków polskich i znane dziś restytucje architektoniczne, polegają raczej na fantazji, niźli na znajomości starego świata polskiego. Zdaniem uczonego „znany jedyny typ dochowanych dworków polskich, owe barokowe dwory z łamanymi dachami o dwu kondygnacjach, są tylko *naśladowaniem w drzewie pałaców* polskich z ostatnich lat XVII i z XVIII wieku; naśladował w nich mały szlachcic wielkiego pana, domorosły cieśla Mansarda i Lepantre'a... Prototypu tych dworków należy szukać



Brama, czyli t. zw. Samborze, w Peplinie nad Liwcem.

w pałacach warszawskich, tego rodzaju jak nieistniejący dziś pałac marszałka w. koronnego Bielińskiego zbudowany przez Fontomę, lub dawny pałac Łubieńskich. Mimo tego nieswojskiego pochodzenia, pod wpływem naiwnego przeniesienia form i ornamentacji z kamienia i muru na drzewo, architektura ta przybrała cechę swojskiej oryginalności i dziś uchodzi za typ ozdobniejszego budownictwa sielskiego. Atoli ściśle rzecz biorąc, ten właśnie typ budowniczy nie zgadza się z najistotniejszą może cechą starodawnego dworu polskiego, a to dlatego, że jest niejako dośrodkowo zewnętrznie pomyślany, że dyktuje z góry formę i przestrzeń, że tworzy stale zamkniętą całość, do której nic dodać, nic ująć nie można, że zatem daje za wiele, albo za mało.

Tymczasem dwór staropolski powstał *odśrodkowo,* rozwijał się i uzupełniał od wnętrza na zewnątrz a nie przeciwnie; nie był nigdy odrazu gotów i dlatego ani z góry pomyślanej architektury, ani zamkniętej, organicznej niejako artykulacji posiadać nie mógł. Stawał się powoli, robił się, rósł, aż się stał i urósł w pełnię. Miał swoją bjografję, jak człowiek, a ta historja jego życia czytała się w jego przystawkach, dobudówkach i przebudówkach. Nie był prędzej skończenie gotów, zanim nie mieścił wśród swoich ścian trzech pokoleń. Miał sto lat wzrostu i dojrzewania. Dziad go zaczął, wnuk dopiero ukończył... Nie miał zapewne nigdy architektonicznej jedności, musiał być do pewnego stopnia nieforemnym aglomeratem, ale improwizowanym swym układem nabierał malowniczości, a że był szczerym wyrazem życia potrzeby, obyczaju kilku pokoleń, miał charakter."

Jeżeli według zdania Władysława Łozińskiego panujący typ barokowego dworku, w okresie dwu ubiegłych wieków przyswojono i wcielono w organizm nasz, jako dziś jedyny typ dworku polskiego, to też twierdzić możemy, iż podobnie się działo we wszystkich wcześniejszych historycznych epokach. Zadaniem badaczy jest wykazanie co przyswojono sobie z architektury epoki romańskiej, gotyckiej i Odrodzenia, jakie odrębne cechy architektoniczne zdołał nagromadzić w ciągu wieków dworek polski. Sprawa ta należy do palących, w historji naszej kultury.

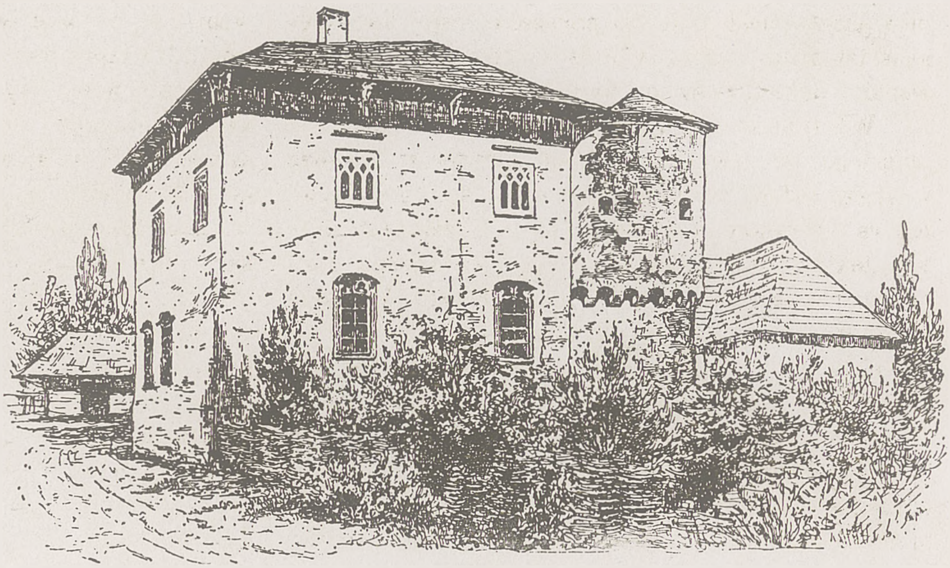
W Polsce ścierały się zawsze wpływy wschodnie z północnymi. W fragmentach zabytków naszej sztuki ludowej, jedynem, wyraźnem echu minionej przeszłości, napotykamy w zdobnictwie i ornamentyce sztuki podhalańskiej wybitne ślady pokrewieństwa z ludową sztuką Skandynawji, w ceramice ludowej, niedwuznaczną łączność z Wschodem. Lubowanie się w kolumienkach, ganeczkach podsieniach przyszło do nas wraz z strojem z Turcji, Persji i Wenecji.

Zbadać więc i ustalić należy, kiedy i w jaki sposób z konglomeratu obcych wpływów urabiała się architektura swojska; wskazać możliwie te pierwiastki charakterystyczne i cechy, które w niej samoistnie powstały, urabiając się na własność jej ducha.

Historją mieszkań w Polsce zbiorowo zająć się winny instytucje ku temu do życia powołane, jak sekcja historji sztuki polskiej, krakowskiej Akademji i pokrewne naukowe towarzystwa w Warszawie, Lwowie i Krakowie.



Z uczuciem podziwu i zazdrości zwiedza dziś Polak narodowe muzea w Zurychu i Monachjum, gdzie przedstawiono przeglądowo historję domu mieszkańców dawnej Bawarji, odtwarzając w modelu lub przy pomocy oryginalnych zabytków, wnętrza mieszkalne od czasów budowli palowych na jeziorze Starenberskiem, aż do sypialni najgenjalniejszego eklektyka, króla Ludwika II-go. Są tam mozolnie i kosztownie złożone z znalezionych fragmentów, wnętrza chłopskiej izby gotyckiej, z belkowaniami i malowidłami ściennemi, z wypełniającymi izbę oryginalnymi sprzętami, dające nam najdokładniejszy i wierny historycznie obraz życia wieśniaka niemieckiego w epoce średniowiecznej. Przeglądając chronologicznie uporządkowany szereg izb, komnat, alkierzy i sal, z coraz to późniejszej epoki, spostrzegamy, iż wszystkie formy stylów historycznych były zawsze naiwnie tłomaczone na język wiejskiego snycerza i stolarza. Wpływ zamku i miasta na życie wsi i upodobania wieśniaków w każdej epoce jest widoczny.



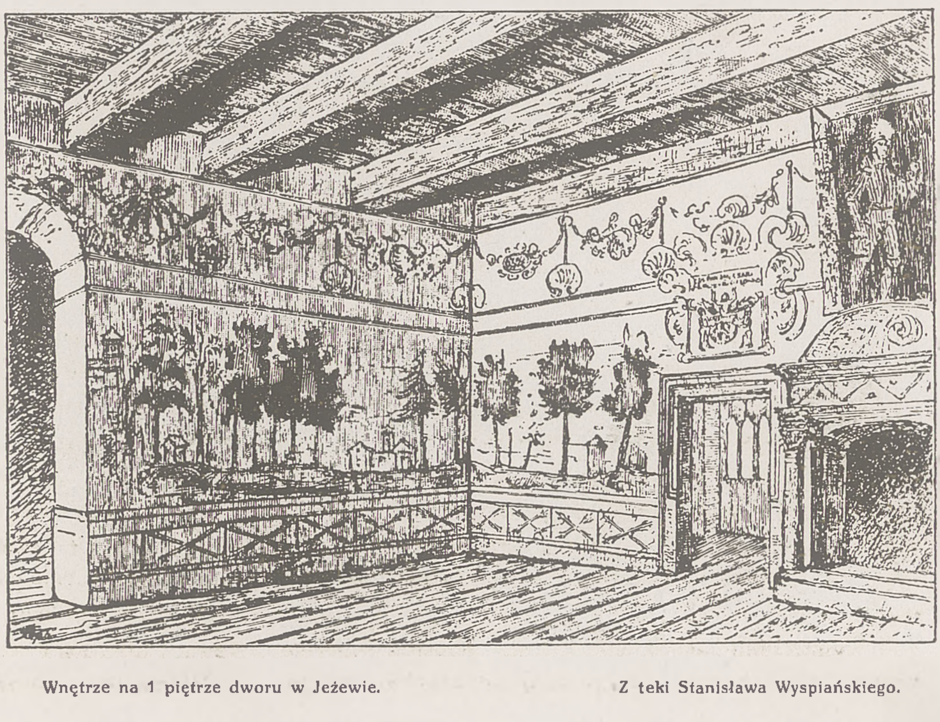
Dwór szlachecki w Jeżewie (wiek XVII). Z teki Stanisława Wyspiańskiego.

Podobnie też w podhalańskiej sztuce znachodzimy wspomnienia murowanej architektury kościołów krakowskich i wawelskiego zamku.

Pragnąc odtworzyć plastycznie dworek polski z czasów Odrodzenia i epok wcześniejszych, wglądnąć musimy do najstarszych włościańskich chat, gdyż włościański cieśla, budował swoją sadybę i dworek szlachcica, który w niejednym przypadku nie różnił się niczem od chłopskiej zagrody. Bogatem źródłem zapomnianych form są nieliczne już w kraju kościołki wiejskie i bóżnice drewniane i murowane, budowane przez tych samych cieśli, których dziełem były dwory i dworki szlacheckie. Staropolski cieśla, nie znając skarbnicy obcych bogatych form i oryginalnych konstrukcyj, obdzielał z mizernego swego skarbczyka i kościół, żydowską bóżnicę i dworek szlachcica.

Oryginalne ciesielskie formy architektoniczne, kryjące się w najstarszych drewnianych zabytkach, kaplicach, bóżnicach i wieśniaczych sadybach, naprowadzić nas mogą na zagubioną nić Arjadny, prowadzącą do wyśnionych komnat Jana z Czarnolasu, kontyn rugijskich i dworku Piastowych królów.

Wyławiać z frymarczego rynku i ratować przed zniszczeniem należy liczne jeszcze stare kobierce i sprzęty, które wypełniały wnętrze dworku polskiego. Posiadamy jeszcze pochodzące z czasów Odrodzenia przysadziste krzesła gdańskie, szafy, służby (kredense), sepety (skrzynie), kantory i se-



Wnętrze na 1 piętrze dworu w Jeżewie. Z teki Stanisława Wyspiańskiego.



Świetlica dworu w Chruszczynie Wielkiej. Rysował Kazimierz Mokłowski.

kretarzyki, ozdabiane „sztukwarkowo" intarsjami, w różnokolorowem drzewie rzeźbione, pokryte ornamentyką, a zawsze silnie okute i mocno zamczyste.

Przy dobrej woli ludzi będących w posiadaniu autentycznych naszych zabytków, dałoby się odtworzyć wnętrze idealne dworku ziemianina polskiego z epoki Odrodzenia wczesnego i późnego a może nawet z epoki gotyku.

Znalazłyby się włoskie kottryny (tapety) i te przecudne obicia „w desenie, mory i kwiaty fioletowe" lub „na płótnie *ad instar* chińszczyzny w różne osoby malowane" i jedynie w dawnej rozkochanej w kobiercach Polsce znane kilimy i kobierce „melikbaskie, dywońskie, słupiaste, wcieleńce, poławniki, pardy" i pochodzące z swojskich warsztatów makaty i kobierce wyrabiane w XVII wieku w Brodach Koniecpolskiego, Nieświeżu u Radziwiłłów i we Lwowie.



Pełny ongiś skarbiec zabytków swojskiego przemysłu artystycznego, w oczach naszych topnieje.

Po kraju naszym uwijają się z pełną kiesą przybyli wszechświatowi agenci i za lichy grosz wyłudzają, często podstępnie, przepyszne okazy naszej sztuki stolarskiej, tekstylnej i ceramicznej.

Relikwiarzych dawnych szlachetnych upodobań, umiłowanego przez naszych przodków piękna, zaprzepaszcza nasza lekkomyślność i nieświadomość.

Ratujmy to jeszcze, co nam do ratowania zostało!

Sprawa krytycznej rekonstrukcji dworku polskiego i jego wnętrza z epoki wcześniejszej przed barokiem, należy w porównaniu do zapobiegliwości na tem polu choćby Czechów, pomijając Anglję, Francję i Niemcy do tylu tak, niestety, u nas licznych niezałatwionych spraw, rumieńcem wstydu palących.

Marjan Dienstl.

Przyp. Redakcji. Ilustracje do powyższego artykułu zaczerpnęliśmy z pięknego dzieła *Władysława Łozińskiego* p. t. *„Życie polskie w dawnych wiekach"*, które bogato wydała po raz trzeci znana firma nakładowa E. Wende i S-ka w Warszawie. W czterech rozdziałach tej niezwykle pożytecznej publikacji, zatytułowanych „Zamki i pałace, Dwory i dworki, Ubiory i splendory, Dom i świat", kreśli literat i historyk Łoziński w barwny sposób obyczaje i życie dawnej Rzeczypospolitej, z umiłowaniem czasów i ludzi, ze znajomością wynikłą z mozolnych źródłowych badań nad przeszłością naszej kultury i oddziaływania na nią wpływów postronnych.

Na dzieło to zwracamy uwagę naszych Czytelników, polecając zapoznanie się z treścią tej ciekawej publikacji, stanowiącej historyczny rys obyczajowości w Polsce.



Przy oziminie — siewnikiem rzędowym. Działyń, Ziemia Dobrzyńska. (Fot. am. p. L. Ciechomskiego).

Nasze kursa gospodarcze dla dziewcząt włościańskich.

Bez względu na różnice lokalne i zależne od nich warunki rozwoju, wszystkie dzielnice Polski opierają swój byt ekonomiczny przedewszystkiem na produkcji rolnej; w Królestwie połowa 49%, w Galicji zaś 80% ludności pracuje przy tym podstawowym warsztacie, poziom więc umysłowy pracowników tego typu, intensywność ich pracy stanowi o poziomie życia większości narodu. Wieś galicyjska, pod względem siły produkcyjnej i poziomu kulturalnego, przedstawia się dosyć smutno, a cyfry zebrane dla Królestwa przez prof. Załęskiego, nie świadczą też, aby mała własność ziemska rozwijała się proporcjonalnie do terytorjalnego wzrostu. Gospodarka chłopska nie weszła jeszcze na drogę uprzemysłowienia rolnictwa, nie wzmogła, na wzór Zachodu, swojej siły wytwórczej w stopniu dostatecznym i zadawalnia się dotąd tylko zaspakajaniem najelementarniejszych potrzeb.



Dziewczęta przy zajęciach ogrodniczych.

A jednak bierność nie jest przyrodzoną cechą polskiego chłopa, na emigracji wykazuje on wiele przedsiębiorczości i szybko wyrabia się kulturalnie, brak więc tylko oświaty, trwający od wieków, wykonał tę skorupę na jego duszy.

Cały więc wysiłek pracy oświatowej dążyć powinien do tego, aby z pod tej skorupy wydobyć nową, młodą siłę narodu.

Jedną z dróg, wiodących do tego celu, jest podniesienie poziomu umysłowego kobiety wiejskiej. Nie trzeba przypominać owych przysłowiowych trzech węgłów domu, aby uznać jej pierwszorzędną rolę w życiu wsi.

Obok ścisłej współpracy przy rolnym warsztacie, jest ona twórczynią obyczaju, wychowawczynią młodego pokolenia i samodzielną producentką w wielu działach gospodarstwa, których rozwój stanowi o zamożności rodziny.

Monotonja codziennej dreptaniny, przerywana tylko trudami macierzyństwa, i to w fizjologicznem, nie wychowawczem znaczeniu, to cały jej świat. Tu przypomnieć należy, że ogromna większość z ogólnej cyfry analfabetów przypada na kobiety, staraniom jej więc brak wszelkiej inicjatywy, życiu szerszego celu, pracy wydajniejszych rezultatów.

Inteligentniejsi włościanie spostrzegać już poczynają, że kobiety są częstokroć zawadą do wszelkiego postępu; oto słowa jednego z nich: „Baby, to kamienie na naszej drodze ku lepszej przyszłości, one nam dzieci trzymają w niechlujstwie i zabobonie, nie orjentują się w zmieniających się obecnie warunkach życia i nietylko same nie umieją do nich nakierować swojej pracy, ale nas odwodzą od wszelkich zmian i dążeń, choćby tylko w zakresie gospodarczych ulepszeń".

Niemal zawsze dzieje się tak, że gdy potrzeba jaka społeczna dojrzeje i żąda koniecznie swego zaspokojenia, samorzutnie znajdują się na to środki. U nas, w Królestwie, trudniejszem to jest, niż gdzieindziej, przy opłakanych warunkach oświatowych, społeczeństwo jednak szuka uparcie dróg i środków, aby większość narodu wyjść mogła ze społecznego i ekonomicznego analfabetyzmu. Jednym z takich środków jest zakładanie, coraz liczniej, kursów gospodarczych dla młodzieży włościańskiej. Jakby w myśl ową, że przedewszystkiem należy pomyśleć o tej, co trzy węgły w domu trzyma, a nadewszystko, co wychowuje młode pokolenie, stosunki złożyły się w ten sposób, że kursów dla dziewcząt założono w ostatnich czasach więcej, niż dla męskiej młodzieży włościańskiej. Co prawda są one łatwiejsze do zorganizowania, wymagają mniejszego pieniężnego nakładu, kierowniczy personel żeński zadawalnia się mniejszem wynagrodzeniem, mniejszy też obszar, obecnie tak drogiej ziemi, jest tam potrzebny.



Grupa dziewcząt, kończących kursy.

Wszystko to sprawiło, że na 5 istniejących obecnie i pomyślnie się rozwijających szkół gospodarczych męskich, mamy już 9 kursów żeńskich.

Pomiędzy niemi różniczkują się już dwa typy, jeden z przewagą zajęć ręcznych, pozostający pod egidą Tow. popierania przemysłu ludowego, drugi zaś już z wyraźnym kierunkiem gospodarczym; pozwolenie na ten ostatni uzyskać można pod nazwą „fermy wzorowej" od ministerjum rolnictwa.

Obydwa te typy służą dla urabiania gospodyń wiejskich na własnych zagrodach, matek i wychowawczyń o wyższym już poziomie tak duchowym, jak ekonomicznym, niż dotychczas.

Po za tem mamy jeszcze kursy w Grędzicach, gdzie dziewczęta kształcą się specjalnie na szafarki, t. j. na kierowniczki dworskich gospodarstw, co przy wzrastającem obecnie uprzemysłowieniu większej własności, wprowadzeniu i rozszerzeniu działów dochodowych w wytwórczości kobiecej, okazało się niezbędnem.

Przyjrzyjmy się obecnie, jaki sobie zakreśliły program Kursy dla przyszłych obywatelek-gospodyń na mniejszej własności.

W ciągu 11-tu miesięcy należy przeprowadzić naukę 9-ciu działów, jak: 1) gotowanie, 2) pranie i prasowanie, 3) zapasy i porządki domowe, 4) obora i mleczarstwo, 5) trzoda, 6) drób, 7) szycie, tkactwo i sprzędzanie, 8) ogród, 9) pasieka.

Tak w trybie życia, jak w zakresie wymienionych zajęć, Kursy usilnie starać się powinny o utrzymanie swego charakteru zagrody włościańskiej pod hasłem: „szkoła nie dla szkoły, ale dla życia!" Cały pożytek praktyczny z nabytej umiejętności ginie z chwilą, gdy w umyśle uczennicy tworzą się dwie miary, jedna do sądzenia wartości szkolnych, druga dostosowana do poziomu własnego otoczenia, to zaś niebezpieczeństwo grozi zawsze, gdy szkoła odbiega od wsiowego obyczaju. Pod kierunkiem nauczycielki uczennica przejść musi proces ulepszenia, t. j. upraszczania swej pracy, a wartość pedagogiczną systemu stanowić będzie wyrobienie w uczennicach poczucia odpowiedzialności za spełnioną pracę. Traktować też trzeba uczennice nie jako funkcjonarjuszki, ale jako współpracownice, obdarzone własną inicjatywą.

Oprócz tego ścisłego zakresu, kuchnia i zapasy

spiżarniane dostarczą wątku do pogadanek o hygjenie i technologji gospodarczej, hodowla oprze się na zoologji i wiadomościach z weterynarji, ogrodnictwo musi być połączone z botaniką.

Pogadanki te należy usystematyzować tak, aby weszły w ramy zwięzłego kursu, prowadzącego do konkluzji wyników i zastosowań praktycznych.



Gimnastyka w przerwach od zajęć praktycznych.

Po za tem, przedmiotem pogadanek, rozłożonych stopniowo na rok cały, winny być wszystkie kwestje, z życiem wsi związane. Nie nazwiemy tego szumnie kursem nauk społecznych, celem jednak tego szeregu pogadanek jaknajpopularniejszych i jaknajbardziej na realnem życiu opartych, ma być wyjaśnienie uczennicom stosunku jednostki do ogółu i uzdolnienie ich do wzięcia udziału w pracach zbiorowych, mających dobro społeczne na widoku.

Uzupełnieniem programu są śpiewy chóralne, przedstawienia teatralne i wycieczki zbiorowe.

Pierwszorzędne też znaczenie ma celowe postawienie Kursów w stosunku do sąsiadów-włościan, uczynienie z nich centru kulturalnego danej okolicy.

Nasze Kursy w Królestwie odpowiadają naogół wymaganiom tego programu, jakkolwiek są instytucją nową, tworzącą się dopiero i organizującą bez środka pomocniczego, jakim byłoby seminarjum dla instruktorek i kierowniczek. Na dzisiejsze nasze potrzeby, które jednak wzrastać będą z każdym rokiem, znalazła się garstka osób, przenikniętych duchem obywatelskim, a fachowo uzdolnionych, które z pożytkiem prowadzą Kursy dla dziewcząt włościańskich.

Materjał to nadzwyczaj wdzięczny, wyrabiający się szybko nad podziw, usprawiedliwia on w zupełności zdanie Grudtwiga, twórcy uniwersytetów ludowych w Danji: „Człowiek w wieku 18 — 25 jest kwiatem, po którym następuje żniwo dojrzałe. Jeśli w tym wieku nadamy człowiekowi właściwy kierunek myśli, jeżeli mu wytkniemy cel życia i drogę postępowania, to całe jego życie będzie dobrem żniwem“.

Zakładając tedy Kursy gospodarcze dla dziewcząt włościańskich, otwieramy źródła, z których całemu życiu społecznemu wsi przybywa żywioł rozwojowy.



Dziewczęta przy tkactwie.

Pozostaje jeszcze otwartą kwestja, gdzie w przyszłości, przy dalszym rozwoju Kursów, znaleźć kierowniczki do tych zakładów, wobec braku u nas szkół wyższych o praktycznym, gospodarczym kierunku. O ten brak rozbijają się nieraz najlepsze zamiary inicjatorów, otóż możemy z pociechą zaznaczyć, że w Galicji, w Snopkowie pod Lwowem, powstaje seminarjum dla nauczycielek do szkół gospodarczych, pod umiejętnym kierunkiem wychowanki Kuźnic, p. Leszczyńskiej, a z czynnym współudziałem profesorów lwowskiego uniwersytetu i politechniki.

I. W. Kosmowska.



Kazimierz Stabrowski. (Tow. Zach. Szt. Piękn.) Cyprysy o zachodzie słońca.

Zbiorowa wystawa Kazimierza Stabrowskiego w Tow. Z. S. P.

Prof. Stabrowski w pełni dojrzałości artystycznej nie zadawala się zdobytą techniką malarską i smakiem, lecz wiedziony mistyczną tęsknotą, szuka coraz to nowych skojarzeń piękna.

Na ostatniej wystawie w 111 szkicach, notatkach z dalekiej podróży do brzegów Wielkiej Kanarji opowiada nam żywo i z temperamentem niespożytym o wyśnionych cudach i dziwach flory podzwrotnikowej, a więc o owych drzewach smoczych, euforbjach, zwanych „Świecznikami Szatana“, ze względu na trujące właściwości tej fosforyzującej rośliny, o wykutych w bazalcie drogach i świętych grotach Gwauczów, o szczytach i przepaściach wulkanicznych skał, otaczających dolinę Orotawy, o kraterach jednego z najwyższych wulkanów Pico de Tejde. Z każdego obrazka wyczuwa się radość i umiłowanie barwy i kształtu, opowiedziane jednym tchem, „jednym pędzla zamachem“, z trafnością tak sumien-



Kazimierz Stabrowski. (Tow. Zach. Szt. Piękn.) Willa Orotawa.

nego i pewnego sił swoich kolorysty, jak prof. Stabrowski.

W studjach prof. Stabrowskiego z egzotycznej podróży do wysp kanaryjskich widoczną jest subtelna wrażliwość na grę natężonych, drgających żarem podzwrotnikowego południa, promieni słonecznych. Artysta pragnie wchłonąć w siebie co najpiękniejszy kwiat i przedstawić wspaniałe kiście królewskich eukaliptusów i bungewolji z pewną dekoratywną myślą, nadającą tym właśnie szkicom wdzięk właściwy malarskim pracom prof. Stabrowskiego.

Również pobyt we Włoszech wyraził się w kilkunastu ciekawych obrazkach, przedstawiających Florencję w puchach śniegu i fragmenty rzymskiej willi „Borghese", „Dorja Pamphili", „Frascati" i „Tivoli".

W pięknej wędrówce po starych kwietnikach rzymskich patrycjuszy umie znaleźć prof. Stabrowski tryskające świeżością życia barwy kwiecia, przystrajającego dostojnie ruiny architektury pałaców Odrodzenia.

Jasność i pogoda ducha artysty, każą nam patrzeć



Kazimierz Stabrowski. (Tow. Zach. Szt. Piękn.) Fontanna w „Giardino del Lago".



Kazimierz Stabrowski. (Tow. Zach. Szt. Piękn.) Łabędzie o zmroku.

na zamarłe życie wiecznego miasta przez zwoje zieleni i barwnego kwiecia.

Artysta, niby dworski poeta, odchyla nam przez rąbki szpalerów i rabatników tajemnicze fragmenty starych rzymskich parków, w których powaga klasycyzmu splata się z bachicznym pląsem miłości.

Kilka szkiców z Szwecji, Paryża i Hamburga składa się na komplet tego przepysznego artystycznego podróżnego notatnika. *m. d.*



Z cyklu „Bajki dla Kasieńki".

PIEŚŃ.

Hen — jeśli pamięć mnie nie mami —
za gór setkami, za rzekami

(z których do morza każda płynie,
a przedtem ginie w drzew gęstwinie,

w kobiercu łąk i pól zieleni),
morze się szmaragdowe mieni.

Na morzu widać tem z oddali,
jak wyspa pali się z korali.

Na wyspie tej się wznosi skała,
z marmuru cała, cała biała.

W słonecznych blaskach, na tej skale,
czarowny zamek lśni wspaniale,

bo jest bajecznie różnowzory
i tęczowymi drży kolory.

W zamku tym jedna jest komnata,
w złoto i szkarłat przebogata,

strojna od dołu aż do góry
w czarnych i białych pereł sznury,

w rubiny wielkie i opale,
co mienią się, jak morskie fale.

W środku komnaty stoi łoże,
a na nim tysiąc lat już może,

a może kilka już tysięcy,
a może więcej, jeszcze więcej,

w zimowe noce, dni gorące,
czy księżyc świeci, czy też słońce,

od rana, do nowego rana,
królewna śpi zaczarowana,

skazana na tak długie spanie,
aż kochać serce jej przestanie.

Koło niej siedzi pazik młody,
a lica dziwnej ma urody.

Srebrną gitarę trzyma w ręce
i piosnkę śpiewa po piosence,

coraz cudniejsze, miększe tony —
i wciąż w królewnę zapatrzony.

A złotowłosa śpi królewna,
chociaż melodja dźwięczy śpiewna

i choć spływają na jej głowę
kaskady z srebrnych strun bajkowe.

Pazik już może lat tysiące
śpiewa jej pieśni swe marzące,

a może nawet sto tysięcy,
a może więcej, jeszcze więcej,

śpiewa i myśli: „Snać za wcześnie,
lecz przyjdzie chwila, kiedy we śnie

poczuje, żem w nią zapatrzony,
usłyszy rzewne moje tony,

i kiedyś, kiedyś, wdzięczna za nie,
zapomni dawne miłowanie,

i zbudzi ją ma pieśń pogodna,
i serce jej przepoi do dna...

i wtedy — może cud się stanie! —
poznam wzajemne miłowanie..."

. . . .

Jak młody pazik swej królewnie,
zaśpiewałbym ci i ja pewnie,

żeby i tobie pieśń pogodna
rozsłoneczniła duszę do dna.

Lecz, żem nie pazik i nie młody,
że nie mam w sercu już pogody,

(a może nawet nie mam serca,
które czas mrozi i uśmierca),

że w mojej duszy pustka wieje,
żem dawno stracił już nadzieje,

że, gdybym srebrną miał gitarę,
wygrałbym jeno bóle stare,

że moja pieśń tchnie krwią i męką —
wybacz mi, wybacz, ma Kasieńko!..

Zdzisław Witmir.

INGRES
J. E. ks. Arcybiskupa
Metropolity Warszawskiego.

W dniu 14 września przeżywała Warszawa rzadką uroczystość ingresu na stolicę metropolitalną J. E. ks. Arcybiskupa Aleksandra Kakowskiego.

Ks. Kakowski jest dziesiątym z kolei arcypasterzem, który od czasu utworzenia archidjecezji warszawskiej zasiada na tronie swych dostojnych poprzedników.

I nie tylko Warszawa, lecz i wieś nasza nabożna wzięła udział w powitaniu czcigodnego duszpasterza.

Od Granicy na każdej stacji witały Go tłumy ludu z księżmi i z delegacjami od stowarzyszeń społecznych i kulturalnych na czele.

W niedzielę, w dniu uroczystym ingresu, nieprzejrzane tłumy zaległy uiicę Miodową przed pałacem arcybiskupim i wszystkie ulice w blizkości katedry św. Jana. A gdy po godz. 9-ej rano ruszył pochód z najdostojniejszym elektem, dążącym pod baldachimem z ks. biskupem Ruszkiewiczem z jednej i p. Karskim, szambelanem papieskim, z drugiej strony, poprzedzany przez 350 księży, zakołysało się morze głów, zajaśniały barwne sztandary cechowe i postępowano w skupieniu i powadze ku świątyni metropolitalnej, mającej przyjąć swego Pasterza.

Rozwarły się drzwi katedry, gdzie po ceremonjale u progu świątyni, wkroczył dostojny elekt do swego kościoła.

Po odczytaniu bulli papieskiej, mowie powitalnej J. E. ks. biskupa Ruszkiewicza i przyjęciu hołdu od duchowieństwa i przedstawicieli stanów, rozpoczął J. E. Arcypasterz celebrę Mszy pontyfikalnej, a po ewangelji wygłosił długą mowę powitalną, jako miłujący pasterz i jako dobry syn ojczyzny, zwracając się do ludu:

„Przychodzę do was z miłością na ustach, z miłością w sercu. Przychodzę od Tego, Który prawo miłości ogłosił, jako pierwsze i najważniejsze przykazanie, przeto i w duszy mojej niema ani goryczy, ani uprzedzenia...“ mówił Arcypasterz, a te piękne słowa dały poznać Jego duszę, którą nam otworzył i serce, z którem przyszedł do nas.

Oby pogodne były dnie rządów Arcypasterza, jak pogodnem i pełnem wiary w przyszłość było jego oblicze w dniu uroczystym ingresu i jak pogodnym był ten błękitny wrześniowy dzień niedzielny, błogosławiący złotymi promieniami słońca w modlitwie pochylone głowy pobożnego ludu.







Z INGRESU J. E. KS. ARCYBISKUPA METROPOLITY WARSZAWSKIEGO.
1) Procesja z pałacu arcybiskupiego do katedry. 2) Pochód kleru. 3) Przed kościołem katedr.
(Fotogr. wyk. zakł. „Helios“).

O NASZYCH CZWORONOŻNYCH PRZYJACIOŁACH.

(Trochę okruszyn, zamiast artykułu).

Do kogóż nie przymilały się, komuż się nie psociły, komuż z nas nie wyświadczały przysług nasi poczciwi czworonożni przyjaciele! Czy to dziką kaczkę aportować z wody, czy kuropatwy wytropić w kartoflach, czy też obejścia strzedz wiernie, wszędzie pieski nasze wywiązują się ku zadowoleniu swych panów, lecz czasami i ku niezadowoleniu swych pań, gdy psią naturę nęci połyskliwa szerść kota, w której radeby serdecznie zatopić szereg perlistych ząbków. Trudno — jest i pożytek, są i psoty...

I kot — antagonista psiego rodu, rozumie troskę pani, swej opiekunki, garnąc się do niej z pełnem zaufaniem, choć psotnik-łakomca, nie poprzestając na śniadaniu z pięknie utuczonej na specjałach domowych myszy-szkodnicy, upatruje pracowicie, gdzieby można było coś złasować, a więc przedewszystkiem zmniejszyć np. niepostrzeżenie zawartość kubeczka ze śmietanką.



Dwór w Piecewie, pani Marji Mieczkowskiej. (Prusy Zachodnie).

Dzisiejszy kot nie pali fajeczki, nie wygarnia węgielka, to też nie sparzy sobie łapeczki... mądry jest — woli ją maczać w nęcącej śmietance, żeby potem z błogością raczyć się tak przemyślnie wydobytym płynem, jak to widzimy na ciekawej ilustracji niedyskretnego i w tęgą migawkę uzbrojonego fotografa.

A tuż obok widzimy sympatyczne i nadobne panie ze swymi czworonożnymi pieszczochami, cieszącymi się względami, bowiem jeszcze do kociej szerści pociąg się u niewinnych szczeniaczków nie rozbudził,

co gdy się pewnie w przyszłości stanie,
może i łask swych poskąpią panie.



Sympatyczne mieszkanki dworu w Piecewie, panny G. S. i J. G., ze swymi małymi czworonożnymi pieszczochami.



Z ŻYCIA NASZYCH DOMOWYCH PRZYJACIÓŁ.

Kot łasujący.

1) Łapa — do śmietanki.

2) Łapa... ze śmietanką.

(Koty podług fotogr. am. p. St. Durzyckiego).



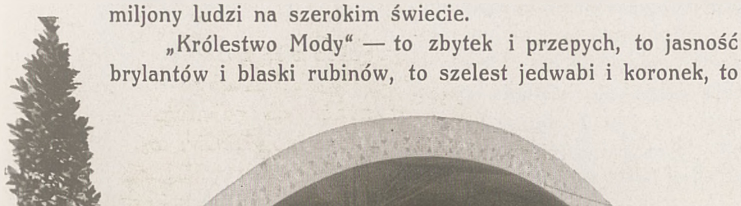
Fragment z wystawy „Królestwo Mody". Fot. „Świteź".

WYSTAWA „KRÓLESTWO MODY".

Nie napróżno doświadczeni w tym kierunku ludzie utrzymują, że zbytnie pochwały, że szumne tytuły, nadawane przedwcześnie komuś lub czemuś — częściej szkodzą, niż pomagają, bo rzeczywistość zwykle nie dorasta do wysokości owych zapowiedzi tego, co ma być — na czem oczywiście traci dana osobistość, lub dane dzieło.

Tak się też stało z otwartą w Warszawie w d. 6 września Wystawą, pod pięknem, ponętnem, ale bezgranicznie obowiązującem wezwaniem „Królestwa Mody". Wszyscy, którzy się tem zajmują, i których interesuje olbrzymia gałęź wszechświatowego przemysłu i handlu, wiedzą dobrze, jakie ta frakcja obejmuje horyzonty, jak wielką jest jej władza, jak potężnem jest jej „Królestwo". Setki i tysiące najrozliczniejszych działów przemysłu składa się na tę wytworną, subtelną maszynę, o bajecznie rozpędowej sile, poruszającej krocie najzawilszych kół i kółeczek, a żywiącej miljony ludzi na szerokim świecie.

„Królestwo Mody" — to zbytek i przepych, to jasność brylantów i blaski rubinów, to szelest jedwabi i koronek, to apoteoza gustu i komfortu we wszystkich materjalnych życiowych przejawach, to artystyczne obramowanie człowieka i wszystkiego, czem się cywilizowana ludzkość otacza, od „Królestwa Mody" trzeba i można wymagać olbrzymiego nastroju i nieograniczonych wrażeń.



Pawilon księgarni E. Wende i S-ka. (Fot. „Świteź").

Rzecz prosta, że Warszawa, pomimo wielkiej swej podatności do wszystkiego, co ma styczność ze światem Mody, nie może być owem centrum ani wytwórczości, ani importu, nadającem się do poważnej, wyczerpującej Wystawy, bądź to działów ściśle modnych, bądź mających z modą styczność pośrednią. Byłoby to jeszcze względnie możliwe, gdyby cała nasza poważna korporacja przemysłowo-handlowa, ze swymi przedstawicielami na czele, z zupełną solidarnością, wykluczającą wszelkie wyjątki, przystąpiła do dzieła takiego z najlepszą wolą i postanowieniem dopięcia zamierzonego celu. Wtedy, mając istotnie dużą żywiołową siłę i grunt, jak powiedziałam — podatny, „Wystawa Mody" u nas mogłaby nosić nawet miano „Królestwa".

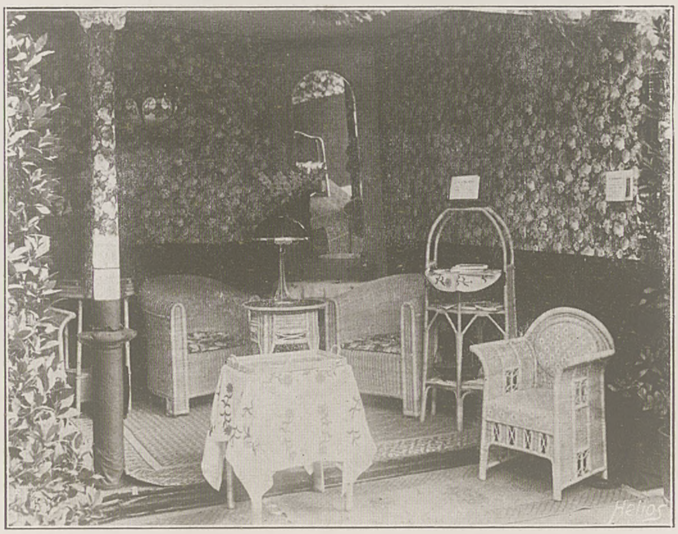
Tymczasem w zapoczątkowaniu i przeprowadzeniu tego wystawowego dzieła stało się wprost przeciwnie, i tu właśnie zaczyna się duża zasługa inicjatorów i twórców omawianej przez nas Wystawy. Całe nasze wielkie zamożne kupiectwo z tej branży, cały przemysł, mający modę za pośrednie lub bezpośrednie hasło, wszystkie nasze warszawskie wyrobione już, zasłużone i zamożne firmy, nie przyjęły udziału w Wystawie. Dla czego? To pozostanie zapewne na zawsze, zawodową tajemnicą.

Na wezwanie stawiły się firmy młode, ruchliwe, żądne koniecznej reklamy i rozgłosu — i kosztem względnie dużych na początkujące siły ofiar materjalnych, popartych dobrym gustem, a najlepszą chęcią, wytworzyły całość zupełnie przyzwoitą, pociągającą, miłą oku i sprawiającą bardzo dodatnie wrażenie. Organizatorowie Wystawy uczynili ze swej strony wszystko możliwe, by — i wystawcom, i zwiedzającym wygodzić. Pierwszym dali do rozporządzenia wybornie nadający się na tego rodzaju cel lokal (Gmach Panoramy na Karowej) obszerny, z odpowiedniem w dzień i wieczór światłem, z do-

skonałą wentylacją, a rozkładem wykluczającym gorsze lub lepsze pomieszczenie odnośnych pawilonów, zwiedzającym zaś — prócz dobrego powietrza, i pięknego oświetlenia — uprzyjemnili chwile na Wystawie spędzane, rozlicznemi atrakcjami estradowemi, dobrą orkiestrą, oraz pierwszorzędną a cenami przystępną restauracją.

Przystępując do ściślejszego opisu znajdujących się na Wystawie okazów, zacząć przedewszystkiem trzeba od wspaniałej witryny, mieszczącej serję pięknych kostjumów warszawskich teatrów rządowych, użyczonych przez prezesa p. Małyszewa. Szereg wspaniałych, ręcznie, artystycznie haftowanych fraków stylowych, z odnośnej epoki, ofiarowanych teatrom warszawskim, przez króla Stanisława Augusta. Dwa wspaniałe, dziane złotem i kordonkiem, kostjumy chińskie, stylowe szaty z tragedji „Marja Stuart", z „Otella" i t. d. Następnie zwracają uwagę znawców wspaniałe inkrustacje i mozajki, wyrabiane ręcznie w zakładzie Natalji Bober, którym całemi godzinami przypatrywać się można. Pracownia artystyczna p. Wyleżyńskiej dostarczyła pięknych wyrobów ze skóry wytłaczanej ręcznie. T-wo Przemysłowe „Tkacz" (Kamienica Polska) wystawiło artystyczne tkaniny kościelne w stylu średniowiecznym i piękne samodziały, nagrodzone medalami aż... w Chicago. Wystawy tkackie w Karoszynie p. Kuczyńskiej, wspaniałe portjery, serwety, poduszki, laufry. Ogólną wzbudza ciekawość pawilon p. Gabryelowej, mieszczący jedwabnictwo i koronkarstwo, uprawiane w odnośnych szkołach, pierwszych w Królestwie Polskiem. Tyle sztuka stosowana.

W specjalnych działach Mody wyróżniają się śliczne gustowne kapelusze, wzorowane na najpierwszych modelach paryskich (w kilku pawilonach). W dziale gorsetów śliczne okazy najmodniejszego kroju i pięknego wykończenia (w trzech pawilonach). Wytworna konfekcja i bielizna damska, ilustrowana na prześlicznych paryskich lalkach, wspaniale ustrojonych. Całe urządzenie eleganckiego damskiego sypialnego pokoju, z przepięknie zasłanem łóżkiem, tonącem w haftach i koronkach, z prześliczną kolekcją wytwornej damskiej bielizny. Bardzo poważna witryna konfekcji i bielizny męskiej, wyłącznie krajowej fabrykacji. Ładny pawilon konfekcji dziecinnej. Bardzo elegancka witryna fryzjerska, z pięknemi paryskiemi woskowemi główkami, z prześlicznie upiętemi włosami, z całem zdobnictwem uczesań. Dział futer zjednoczonych majstrów kuśnierskich, z bardzo pięknymi okazami całych błamów, oraz konfekcji futrzanej, bardzo kosztownej i gustownej. Bardzo elegancki pawilon specjalnego magazynu wszelkiego rodzaju przybrań: koronek, haftów, wstążek, galonów, pasmanterji, żabotów, pończoch jedwabnych i gazowych, pawilon ten zdobi prześliczna paryska lalka. Bardzo piękne kwiaty sztuczne z piór i jedwabi, *Modern-style* roboty ręczne kobiece. Praktyczny i obfity dział trykotaży. Wyroby srebrne i platery. Dosyć licznie, lecz nie bardzo wytwornie, przedstawia się dział krawiecki, najsłabiej na wystawie reprezentowany. Poważny pawilon stylowych mebli, ślicznie, artystycznie udekorowany, drugi z meblami ogrodowemi, bardzo elegancki. Ładne okazy krajowej fabrykacji luster. Kilka pawilonów perfumeryjno-kosmetycznych, darzących gości ślicznemi wonnościami, rozpylanemi z wielką szczodrobliwością. Księgarnia i czytelnia E. Wende i S-ka urządziła duży, piękny pawilon, w którym można przeglądać i nabywać książki i pisma we wszystkich językach.



Pawilon składu mebli trzcinowych W. i W. Krąkowskich. (Fot. „Świteź").

Na tem mniej więcej kończy się repertuar wystawowy. Raz jeszcze powtarzam, że tytuł nie odpowiada całości — lecz że całość ta jest wdzięczną i elegancką w szczegółach, że jest dowodem najlepszych chęci, że naszym młodym siłom kupieckim należą się za ich koszty i trudy gorące słowa uznania, oraz szczere „Szczęść Boże" na przyszłość!..

Marcèle.

MODA.

W ostatnim zeszycie „Wsi i Dworu" obiecałam Szanownym moim Czytelniczkom, że w krótkim czasie udzielę im najświeższych wiadomości, zaczerpniętych u źródła modnej wszechwiedzy. Dziś spełniam, choć *częściowo,* zapowiedź moją — a częściowo dla tego, że nowości tak obfite nie mogą być objęte jednym artykułem, a muszą być przedstawione działami.

Ponieważ przy zmianie sezonu najważniejszą tualetową rolę odgrywają ubrania spacerowe, to jest kostjumy krawieckie, oraz wszelkiego rodzaju okrycia, z działem futer i futrzanych przyborów na czele — więc od nich zaczynam ten jesienny przegląd. Naturalnym porządkiem rzeczy — przedewszystkiem głowa, to jest kapelusz. W krajach, gdzie cytryna dojrzewa, w końcu września, a nawet przez cały październik, noszą jeszcze w najlepsze kapelusze letnie, a więc tiul, koronka, gaza i t. p. W klimacie naszym trudno by było już teraz obejść się bez je-



Model firmy W. Janiszewski i S-ka.

siennego pokrycia głowy. W ogólnym kształcie kapeluszy moda nie postanowiła zmian radykalnych, owe *olbrzymy* obwodem i przybraniem przestały już istnieć blizko od roku, znikły „Rembrandty“ i pióra wiązane *(pleureuses)*, a że w rzeczach „Mody“ często: *les éxtrèmes se touchent* więc przerzucone są do rozmiarów miniaturowych, do owych fasonów *bibi* z wysoką kitką nad czołem — to było modnem w lecie, teraz bardzo noszą tak zwane fasony *boerskie*, z miękkiego filcu, z niewielkiem dyskretnem przybraniem. Przy kapeluszach strojnych, bardzo są modne wielkie białe lub czarne egrety oraz wspaniałe ale bardzo drogie paradyzy.

Kostjumy krawieckie, owe nasze tak niezbędne „mundury“ przedstawiają się w bieżącym sezonie, bardzo ładnie i elegancko. W życiu wielkomiejskiem odgrywają one rolę znamienną — dla pań zamieszkujących wieś mniej są potrzebne a jednak bez jednego chociaż krawieckiego kostjumu, żadna z pań dobrze się ubierających czy to na wsi, czy w mieście obejść się nie może. Kostjumy modelowe paryskie i wiedeńskie, nie przyniosły nam *radykalnych* zmian i nowości, przeistoczono niektóre szczegóły, zmieniono cokolwiek linje, ale całość jest prosta — krawiecka, wykluczająca *draperje.* Wzorowo skrojona i wykończona spódnica, czasem z tiuniką prostą, szersza od talji do kolan, wąziutka przy stopach całkowicie odsłoniętych, czasem powyżej kostek. Oczywiście osoby poważniejsze o kształtach wydatniejszych, muszą bezwarunkowo wyrzec się tego kroju, nosząc kostjumowe spódnice i szersze i dłuższe. Do spódnicy, żakiet albo prosty dosyć długi, przeważnie spięty na boku, albo z baskiną zaokrągloną od boków ku tyłowi. Materjały wszystkie prześliczne, połyskujące a zawsze modne *drap de dames,* albo materjał tak zwany *cotelé* a najwięcej, epidemicznie stosowane na kostiumy *velours de laine* idealnie miękkie (choć grubsze) i miłe. Kolory najmodniejsze — *chauderon* (miedź) *brique* (cegła) *mousse* (mech) dahlia — *taupe* (kret) *souris* (mysz) oraz granatowe i czarne. Przybrania *mundurów* bardzo dyskretne, trochę guzików, jakiś szmuklerski haft, oto wszystko. Oczywiście że w kostjumach *tak zwanych* krawieckich strojnych (visite) dozwolone są wszelkie fantazje — jedwabie, hafty krój *aeroplan* i t. d. — ale wtedy z *krawieckiego* kostjumu, pozostaje tylko... nazwa.

Przechodzę do okryć, które aż na 3 kategorje podzielić trzeba. Praktyczne skromne angielskie płaszcze, najczęściej z grubego *velours de laine double face*, okrycia *manteaux* z tak zwanej imitacji futer (wspaniałe specjalne plusze rozlicznie wytłaczane) przybierane futrami przeważnie czarne lub *taupe,* długości t. z. $^3/_4$ wszystkie z rękawami tworzącymi całość bardzo luźną, szeroką z plecami — skrzyżowane, spięte na lewym boku wąziutko, bajecznie zgrabne w ruchu i *jedyne* modne, oraz *manteaux* futrzane, z futer płaskich, więc z foków prawdziwych i imitowanych brajtszwajcy-karakułów astrachanów przybieranych szenszylą, gronostajami i t. p. Fason futer taki sam jak pluszowych płaszczy. Jako prześliczne dodatki zaznaczyć trzeba wspaniałe etole, kołnierze, mufki oraz tak bardzo modne całe lisy — białe, żółte, złote, i mojem zdaniem najpiękniejsze czarne.

Cały ten modny jesienno-zimowy repertuar był mi dobrze znany z odbieranych paryskich korespondencji, rycin, szkiców, fotografji, ale to wszystko mi nie wystarczało, chciałam to ujrzeć nie tylko na papierze i dla tego udałam się tam, gdzie wszystkie wymienione powyżej działy znajdują się w olbrzymim wyborze. *Pan W. Janiszewski*, właściciel specjalnego i tak znanego magazynu, uwzględniając moją zawodową ciekawość, zechciał łaskawie pokazać mi całe istotne „królestwo“ kostjumów krawieckich, płaszczy i futer, zakupione świeżo i osobiście w Paryżu i Wiedniu. Ujrzałam rzeczy prześliczne, wybrane z całym wyszkolonym gustem i znajomością swej eleganckiej klijenteli. Cała serja paryskich i wiedeńskich modeli kostjumów pięknie skrojonych i wykończonych, śliczne bajecznie zręczne płaszcze, i skromne, i strojne, i te z imitacji futer, i te z futer prawdziwych... a etole, a mufki... a lisy!.. Patrząc na te wszystkie śliczności i przepychy, powtarzałam sobie raz jeszcze, że Warszawa posiada tualetowo wszystko co daje Paryż, trzeba tylko umieć znaleźć i módz sobie na kupno pozwolić.

Marcèle.

Z chwilą oddawania pod prasę ostatniego arkusza niniejszego zeszytu, doszła nas bolesna wiadomość, że po długotrwałej ciężkiej chorobie zakończył życie wydawca *Wsi i Dworu*

ś. p. BOLESŁAW SCHOEN

Nie mogąc zatem w bieżącym numerze, z przyczyn natury czysto technicznej, dać obszerniejszego wspomnienia, odkładamy to do następnego numeru, który wyjdzie w połowie października, a tymczasem z łzą głębokiego smutku rzucamy garść szarej ziemi na trumnę najzacniejszego i najszlachetniejszego człowieka i obywatela, po którym niezatarte wspomnienie zawsze żyć będzie w naszych sercach.

Cześć Jego pamięci!

REDAKCJA

WIOSNA.

I stała się nagle rzecz dziwna. Pan Kazimierz poczuł że nie jest sam. Drgnął i wpatrzył się w pachnący mrok. Tak, to ona... Stała pod kwitnącym jaśminem, w białej ażurowej sukience i w czarnym welwetowym żakieciku, uśmiechnięta, radosna. Na głowie miała biały kapelusik, przepasany czerwoną wstążką.

Tak, to ona — wiosna! radość! Musiała tu przyjść, musiała w tym pachnącym mroku zakwitnąć, jak biała róża w ogródku. Gdyby nie przyszła, nie odszedłby żywy od tych podartych strzępów swojej duszy, które deptał nogami.

— Ach, panie Kazimierzu, jak można! — zawołała, wskazując na kawałki papieru rozsypane dokoła. — Po co pan tak zaśmiecił murawę?

— Zaśmieciłem... prawda...

Zaśmiała się wesoło, jak dziecko.

— To nic, pozbieramy i wrzucimy do kosza.

To mówiąc pochyliła się i zaczęła zbierać podarte kawałki papieru. Stał oszołomiony. Wszak zbierała strzępy jego duszy, by je wyrzucić do kosza, jak śmiecie.

— Niechajże mi pan pomoże — zawołała wesoło.

Nachylił się i niechcący dotknął twarzą jej twarzy. Poczuł na sobie jej oddech pachnący wodą źródlaną, jak jezioro w słoneczne południe... Usta ich spotkały się...

O wiosno... wiosno!

Zerwali się oboje, jak spłoszone gołębie i wzięli się za ręce, jak dzieci.

Mokre gałązki kwitnącego jaśminu nakryły ich aż do stóp.

— Co ja zrobiłam, mój Boże — biadała i jednocześnie miała na ustach śmiech.

— To nic... to kwiaty... — mówił, szukając ustami jej ust... — to kwiaty i mrok...

Z mroku patrzyły na niego jej oczy, płonęły, jak dwie gwiazdy pod czarnymi łukami brwi. Były duże i zielone, jak morze.

Chodźmy — szepnęła.

Zapomnieli o zaśmieconej murawie i szli, jak dwoje dzieci, wziąwszy się za ręce pod cieniem kwitnących jaśminów.

Gdzieś w dali błyszczały światła latarń i nad snującymi się wolno ludźmi unosił się siwy kurz.

Objął ją mocnem ramieniem i przycisnął do łona.

Nie broniła się — usta jej szukały jego ust.

— To ty... ty, o której nic nie wiem, chociaż wiem wszystko — szeptał namiętnie.

— O pani, — mówił po chwili — nic mnie nie obchodzi kim pani jesteś — zakonnicą czy kurtyzaną. O, pani, jesteś taką, jaką chcę, żebyś była.

Dobrze... już dobrze — szeptała, łowiąc jego ręce, które biegły po niej, jak ognie.

— Szukałem panią wszędzie... czekałem na panią długo... świat wielki i czas nie ma końca... Ale teraz...

Znowu zwarli się w namiętnym uścisku.

— Już... już, panie Kazimierzu — szeptała, wyzwalając się z jego objęć. — Niech pan teraz będzie grzeczny, zupełnie grzeczny, bo wchodzimy między ludzi. Chcę, żeby mnie pan odprowadził do domu.

Pobiegła naprzód, ku głównej alei.

Posłuszny, jak dziecko, szedł za nią.

Wyszli z parku i utonęli w mroku prawie pustych ulic.

Mówił jej o sobie. Spowiadał się przed tą nieznajomą z całego życia, ze wszystkich swoich radości i miłości... Te były niepełne, te zmarnowane, jak całe życie... A całe życie było rozrzutne, nieobliczalne, głupie... Tylko ta wiosna, ten słodki zapach akacji w jego pokoju... i ona...

Zatrzymała się przed czteropiętrową kamienicą.

— Więc pani tu mieszka?

— Tu pod samem niebem.

Chciała zadzwonić.

— Nie, jeszcze nie — zawołał, chwytając ją za rękę — A jutro, co będzie jutro...

— Jutro będzie poniedziałek.

Ależ nie o to mi chodzi... gdzie się spotkamy jutro?

— Gdzie?

— Na Pięknej.

Umówił się, że się spotkają na Pięknej o zmroku. We dnie jest zajęta, nie może...

Dok. nast. *Edward Słoński.*

Poświęcenie nowego lokalu składu broni J. Sosnowskiego.

W poniedziałek dnia 15 września r. b. Skład Broni istn. od r. 1861 p. f. „J. Sosnowski" został przeniesiony z ulicy Trębackiej № 9 do nowego lokalu w gmachu Hotelu Europejskiego od ulicy Czystej, którego poświęcenia dopełnił ks. Chabowski. Z tej okazji właściciel firmy p. Czesław Lisowski ofiarował na wpisy szkolne dla niezamożnych uczni szkół prywatnych rubli 100.

SPORT i HODOWLA



Reproduktor „Aboyeur", tegoroczny derbista angielski, zakupiony do stada w Janowie za 135,000 rb.

Za 135,000 rubli.

Główny Zarząd Stadnin Państwowych zakupił nowego reproduktora pełnej krwi, który został przeznaczony do stada w Janowie, mianowicie, tegorocznego derbistę angielskiego, „Aboyeur'a", po „Desmonde" od „Pawky". Koń ten, którego mieliśmy sposobność oglądać w Warszawie, zanim wyszedł stąd do Janowa — przybył w doskonałem zdrowiu. Jest dobrej miary (przeszło 4 werszki), maści gniadej, bez odmiany, zad ma bardzo rozwinięty i muskularny, wiązania suche, stawy skokowe czyste, kłąb wydatny, nogi suche, ustawione normalnie. Pod przedniem kolanem mierzy 19½ cm. Szyja lekka, głowa bardzo rasowa, exterieur wogóle wysoce szlachetny. „Aboyeur", jako 3 letni, nie jest jeszcze zupełnie rozwinięty. Zapłacono za niego 135,000 rb.

„Aboyeur" jest wnukiem „St. Simona", jako syn „Desmonde'a" (L'abbesse de Jouarre i St. Simon), matka ur. w 1903 r. po „Morion" (5) (Barcaldine i Chaplet) od „Clevez Girl" (Beauclere i Lass O'Gowrie). W rodowodzie jego są silne imbready na krew „running" przez rodzinę 2 (Voltigeur, Harkaway, Moscovite, Cowl), przez 4-tą (Jon) i 7-mą (West Australian); krew „Sire" reprezentują w jego pedigree: „Bay Middleton" (I), „Stockwell" i „Flying Dutchman" (III), „Newminster" (VIII) i „Weatherbit" (XII). Potomstwo powinnoby zatem mieć zarówno i speed'u i staminy pod dostatkiem, o ile będzie on, jako reproduktor, miał zdolność przelewania swych zalet i typu.



Po biegu myśliwskim nagrododawca, August Stanisław hr. Potocki, podejmuje uczestników i gości. (Z wyścigów w Piotrkowie).

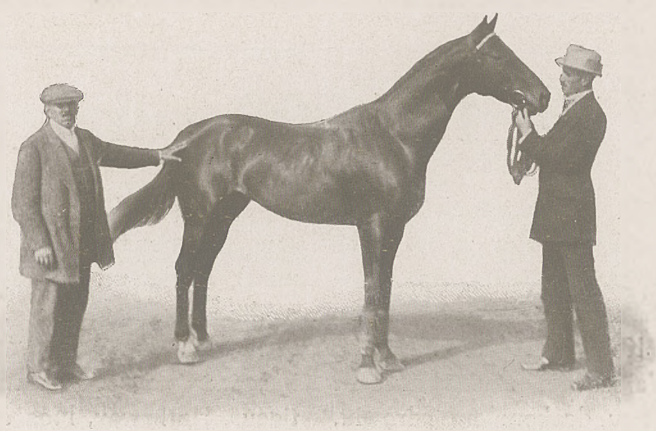
Wyścigi konne w Piotrkowie.

Piotrków, starożytny gród historyczny, goszczący niejednokrotnie w swych murach książąt i królów polskich, niegdyś siedziba najwyższego sądownictwa t. zw. trybunału koronnego, dziś zwykłe miasto gubernjalne o typowo urzędniczym charakterze, zazwyczaj ciche do martwoty, w pierwszym tygodniu b. m. był nadzwyczaj ożywiony.

Przyczyna tego zjawiska — wyścigi konne, urządzane dorocznie w tym czasie przez miejscowe Towarzystwo wyścigowe, zostające pod energicznym doświadczonym kierunkiem Aleksandra margr. Wielopolskiego.

Tegoroczny miting sportowy był w zupełności udany, dopisała bowiem pogoda i doprowadzono taką ilość koni, jakiej nie notowały jeszcze kroniki sportowe piotrkowskie.

Doskonałe połączenie z Warszawą i uruchomienie specjalnych pociągów, spowodowały liczny zjazd sportsmanów i miłośników konia, szczególnie w oba dni niedzielne. Panował też na ulicach, a głównie w alei, prowadzącej na tor, wzmożony ruch kołowy i pieszy.



„Glorieux", zdobywca największego steeple chasse'u (Cross - Country International) w Królestwie, dosiadany w Piotrkowie przez ks. L. Sapiehę, własność p. Chryniewicza, podczas transportowania koleją Warsz. Wied. do Warszawy, uległ w wagonie popaleniu i zakończył swą karjerę.

Tor, na błoniach miejskich, urządzony nader estetycznie i pod względem technicznym zupełnie zadowalająco, oddalony od miasta o niespełna trzy wiorsty, połączony jest dobrą szosą, zadrzewioną i konserwowaną kosztem Towarzystwa.

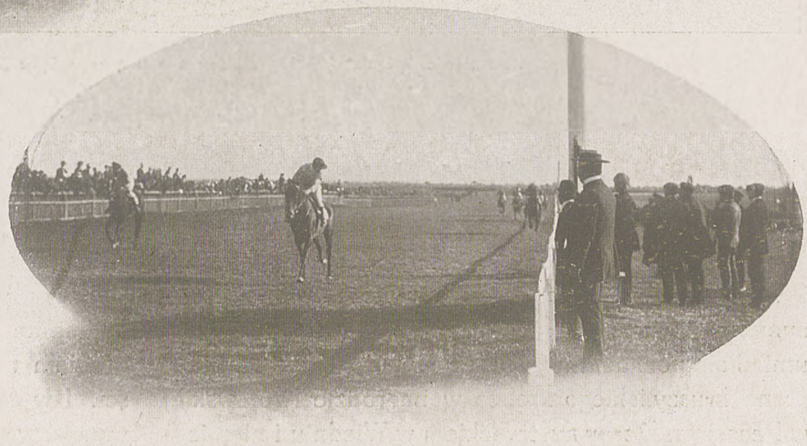
Wyścigi bardzo interesujące, dużo przeszkodowych, stajnie swojskie, jeźdźcy amatorowie — to nasza młódź obywatelska, wreszcie niezmiernie sympatyczny i gościnny zarząd Towarzystwa uczyniły, że tor piotrkowski oddawna cieszy się dużą popularnością wśród szerszej publiczności.

W ciągu czterech dni wyścigowych rozegrano około 23,000 rb., najwięcej wygrała stajnia p. Sergjusza Niemojewskiego, z ziemi kieleckiej, rb. 4,665 — przedstawicielka tej stajni klacz „Par Depit" zdobyła zupełnie łatwo największą sezonową nagrodę „Widzowa", ofiarowaną przez książąt Lubomirskich z Kruszyny, wynoszącą z wpisowem przeszło 2,000 rubli.

Niemałego powodzenia doznała, debiutująca po raz pierwszy na torze piotrkowskim, stajnia galicyj-



Przed biegiem myśliwskim hr. A. S. Potockiego, master-nagrododawca objaśnia uczestników o warunkach jazdy. Od lewej ku prawej stronie: pp. bar. Kronenberg, ks. Sapieha, Peretjatkowicz, Dachowski, hr. Potocki (master) i hr. Komorowski (zwycięzca).



Nagroda Widzowa ks. Lubomirskich. Pierwsze dwa konie ze stajni S. Niemojewskiego z Włoszczowy.

ska p. Stanisława Ułaszyna, na conto której przypada wygrana w sumie 3,271 rb.

Mniej niż zazwyczaj wygrała stajnia staszowska Macieja ks. Radziwiłła, pupile której, z powodu żałoby w rodzinie właściciela, biegały w barwach p. Kazimierza Zarzyckiego. Stajnię p. Tadeusza Dachowskiego prześladowało fatum, — piękna jego steeplerka „Chorążanka" dwukrotnie zajęła miejsce niepłatne, natomiast „Sodalis" zwycięzca pod właścicielem w pięknym stylu cross country steeple chasse'u na dystansie około 7 wiorst — za ominięcie chorągiewki został zdyskwalifikowany.

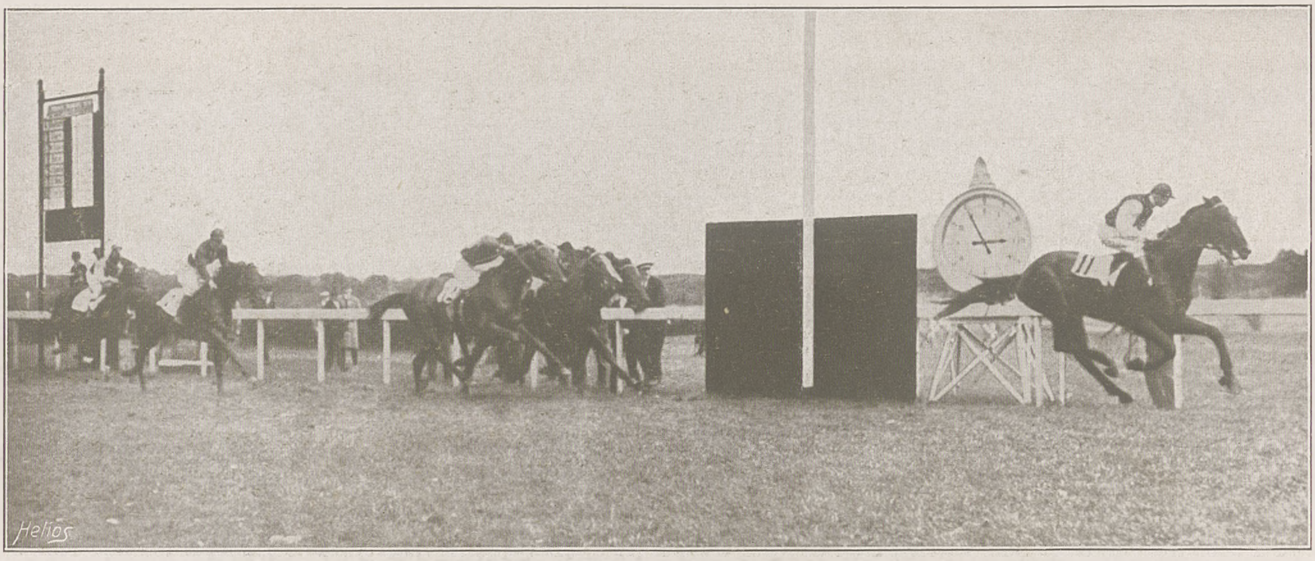
Z gentleman riderów wyróżnili się p.p. Józef Bronikowski, Andrzej hr. Morstin, Zdzisław Skolimowski, Leon ks. Sapieha, Wacław hr. Komorowski i inni.

Sezon zakończono w niedzielę 7-go września; w dniu tym trybuny Towarzystwa były natłoczone, — w trybunie członkowskiej zauważyliśmy małżonkę wice-prezesa Zofję margrabinę Wielopolską, Augustową hr. Potocką z Moskorzewa, hrabiny Karolową i Jerzową Skarbkowe, Bogusławową Stokowską, Henrykową hr. Potocką, panią Janasz, panny Reszke, księżnę Michałową Woroniecką i wiele innych pań z okolic.

Wieczorem w salonach restauracji Zaleskiego zebrało się liczne towarzystwo na wspólną biesiadę, — na miłej pogawędce i zabawie tanecznej spędzono kilka godzin, kilkakrotnie toastowano w ręce wice-prezesa Aleksandra margr. Wielopolskiego, dziękując mu za wyśmienite wyniki sportowe, osiągnięte dzięki niezmordowanej jego pracy, i życząc dalszego pomyślnego rozwoju Towarzystwa.

S. T.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał IV.



Zwycięstwo „Mości Księcia" (№ 11) w biegu o wielką nagrodę w Baden (80000 marek i złoty puhar).

Badeński tryumf „Mości Księcia".

Nadzieje pokładane w synu „Sac à Papier'a" i „Irlicy" przez jego właściciela i wszystkich tych sportsmanów, którzy na jego klasie dość wcześnie umieli się poznać, nie zawiodły, pomimo, że trzy przegrane kruszyńskiego źrebca w nagrodzie Królewskiej w Peszcie w Derby austryackiem w Wiedniu i niemieckiem w Hamburgu mogły zdekoncertować pozornych znawców klasy i graczy szukających tylko—wygranej.

„Mości Książe" w Budapeszcie pobity został dawniej przez 4 letniego „Mokana" konia bardzo wysokiej klasy — w wyścigu tym jednak jak i w obu Derby szedł przed wszystkimi czołowymi trzylatkami Austro-Węgier i Niemiec zachowując dobrze drugie miejsce. Przegrał Derby w Wiedniu do „Czardas'a"— konia wyjątkowego. W Hamburgu — Derby niemieckie, do „Turmfalke" — i tę przegraną chyba tylko winie jeźdzca przypisać należy, bo „Turmfalke" nie jest napewno tą klasą co „Mości Książe".

W wyścigu o wielką nagrodę badeńską miał „Mości Książe" dużo trudniejsze zwycięstwo niż to, które przed nim odniósł jego pół-brat „Książe Pan" oraz „Xamete" lub „Faust". Tego roku stawiła się w Baden-Iffezheim dobra pierwsza klacz francuska. „Baldaquin" w Derby francuskiem był drugim za „Dagorem" i pobił gorącego faworyta „Bruleur'a", który wygrał przecież „Grand-Prix". „Martial" uchodzi też za jednego z lepszych koni francuskich. „Cyclon" wreszcie wygrał w Anglji pięć wyścigów. „Mości Książe" pobił te konie kończące rzadkim bo potrójnym deat-heat o drugie miejsce — o $1^1/_2$ długości według oficjalnego sprawozdania.

Ale fotografje zdjęte z finishu tego ciekawego wyścigu pozwalają moment i jakość zwycięstwa ściślej wymierzyć. Na zdjęciach tych widać zupełnie dokładnie między „Mości Księciem" a trójką na drugiem miejscu — różnicę przynajmniej $2^1/_2$ długości. I w dodatku „Mości Książe" mija celownik powstrzymywany na samej tablicy, więc wygrał wyścig już na ostatnich metrach zupełnie pewnie wyszedłszy z walki — trójka zaś za nim idąca wyjechana do ostatka. Jeżeli porównać ten tryumf z poprzedniemi porażkami, trzeba przyznać, że „Mości Książe" nietylko długo tu przez całe dwa sezony utrzymał formę, ale poprawił się jeszcze, to znaczy, że wyścigi poprzednie nie były wcale ostateczną i decydującą miarą jego klasy i że po wyścigu badeńskim można jeszcze oczekiwać wyższych tej klasy dowodów.

Prócz „Czardas'a", o którym doświadczeni i wytrawni jeźdzcy twierdzili, że gotowi są podjąć na nim walkę z każdym crackiem angielskim — stoi niewątpliwie „Mości Książe" wyżej od wszystkich trzylatków austro-węgierskich i niemieckich. Gdyby jeszcze raz przyszło mu spotkać się z „Czardas'em", byłby to wyścig niezwykle ciekawy — a bodaj czy u kruszyńskiego źrebca szanse obecnie niebyłyby wyższe.

Książęta Lubomirscy dochowali się w „Mości Księciu" konia bardzo wysokiej wartości. Po „Intrygancie", „Kartaczu", „Księciu Panu", „Lirze" nowy to dowód sił i zalet ich stada; dowód zarówno zaszczytny jak niezbity i wspaniały, a potwierdza to ostatecznie znakomite zwycięstwo „Mości Księcia" przed paroma dniami, 28 września w Budapeszcie w wielkiej gonitwie „St. Leger" z nagrodą 75000 koron.

Na pograniczu...

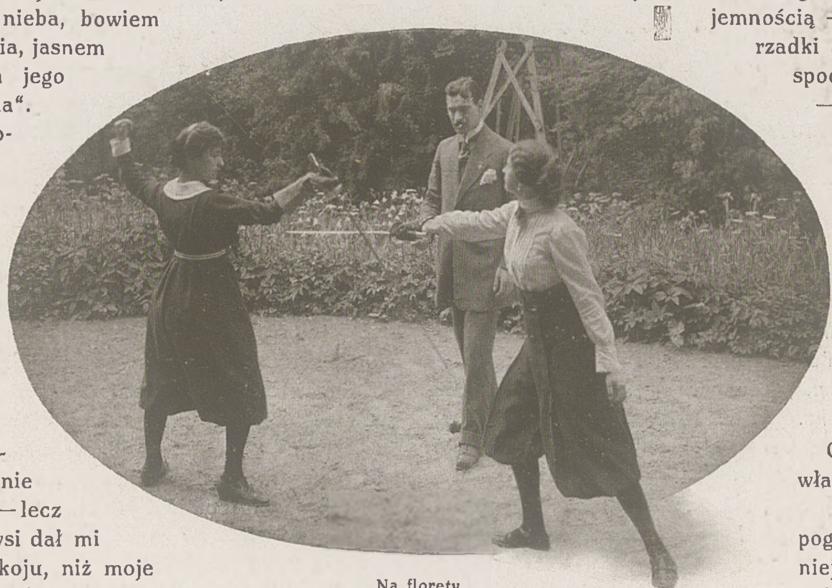
(Mój feljetonik).

Jeden z moich przyjaciół, ilekroć odmówiono mu zaliczki w redakcji, miał zwyczaj, przysiadłszy się do naszego stolika i pijąc naszą kawę, a wyraziwszy przódy, co sądzi o talentach naszych i utworach, przyczem nie skąpił bynajmniej swego wyrozumowanego, jak twierdził, zdania i o naszych osobach — grozić nam, iż porzuci nas na zawsze, a literaturę i poezję polską osieroci, bowiem przenosi się na stałe na wieś. Poczem ostentacyjnie wołał Władka, osobę znaną w Udziałowej, i zażądawszy: „Wieś i Dwór"! zatapiał się w czytaniu, od czasu do czasu jeno bryzgając jadem na otoczenie.



Na florety.

Przyjaciel ów, nazwijmy go choćby Tadziem, twierdził uroczyście, iż jeżeli ostatnie słowa Napoleona były: „Boże... Francja... Armja...", a Byrona: „Teraz idę spać!", Heinego: „Bóg przebaczy mi — wszak to Jego przeznaczenie", a pani de Stael: „Kochałam Boga, Ojca i Wolność", to jego będą niezawodnie: „Ach — czemu nie mieszkałem na wsi!". Coprawda kwestja pozostała sporną, bowiem kompan jego najbliższy dowodził uporczywie, iż jest to kłamstwo, wołające o pomstę do nieba, bowiem każdemu, kto zna Tadzia, jasnem jest, iż ostatnie słowa jego będą: „Pożycz mi rubla". Miało nawet z tego powodu dojść do pojedynku, ale z braku pieniędzy na pistolety, skończyło się na sądzie honorowym, który się zresztą nie zebrał.



Na florety.

Nie myślałem co prawda o tem, co będę mówił na łożu śmierci, a mam nadzieję, iż zdążę to jeszcze, nie spiesząc się, obmyśleć — lecz wiem, że miesiąc na wsi dał mi więcej szczęścia i spokoju, niż moje kilkoletnie wędrówki po świecie.

Powziąłem nawet zamiar, po trzech dniach pobytu w Annowie, zacząć pisać „Pamiętnik człowieka szczęśliwego", co miał rozpocząć nową erę w dziejach literatury europejskiej, ale się na tytule skończyło, niezawodnie dla tego, iż człowiek szczęśliwy nie pisuje nigdy, pozostawiając to szczytne powołanie literatom i dziennikarzom.

Jedno więc marzenie moje urzeczywistniło się — drugie — objechać Królestwo Polskie na rowerze, urzeczywistni się może z czasem — choć, jak dotąd, nie mogłem dojechać nigdy dalej, jak do najbliższego lombardu.

. . . .

Słońce — Bóg - Słońce — Baal twórczy Assyryjczyków, a żarazem niszczący, spalający Baal-Zebuł, protoplasta rodzimego bajkowego Belzebuba, od godzin paru spala upalną pieszczotą ziemię... Leżę na trawie z wzrokiem utkwionym w pobliskim chłodnym lasku, granicy Litwy i Kurlandji, tej starej dobrej Semigalji, nie mając sił, by podnieść się i przejść kroków kilkaset w chłód mchu i drzew iglastych. Moi nowi przyjaciele — Nast i Grej — olbrzymie bliźnięta, rozczulające swem przywiązaniem wzajemnem, obwąchują starannie tom encyklopedji Orgelbranda na literę S. — obok mnie zaś — poważny i posępny szlachcic, siedząc oparty o pień lipy, użala się na czasy obecne i ludzi współczesnych. Słucham go półsennie, choć z przyjemnością — jest to bowiem typ rzadki a wymarzony, no, a gospodarz — zaiste oryginalny.

— Eh, miasto panie — djable wymysły — tak, dla wałkoniów panie i mieszczan. Zgnilizna, panie. Tu, na wsi, jestem niezależny, udzielny pan niemal — co chcę, to robię, sam sobą rządzę, od nikogo nie zależę...

— Pogoda — czy deszcz. Oto pytanie, co wami włada — wtrącam leniwie.

— Ot, pogoda, panie, pogoda. Znasz się pan na niej, czy co? — ot, nie mówię jakiś tam feljetonik, czy sonecik — ale pogoda. Pogoda, wisz pan, to jak Pan Bóg — co chce, to robi — ale zależąc od Boga, nie zaprzeczysz, żeś wolny. Nie w pogodzie rzecz, a w ludziach. A ludzie na wsi lepsi, choć teraz to i tu się popsuło. Rodzina, wisz pan, upada.

— Upada — potwierdzam smętnie.

— W rodzinie to powinno być po Bożemu — powinni

się wzajemnie wspomagać i radzić, ale teraz — wisz pan — tradycja upada. Ot, siostra moja — oddała córkę na pensję i mnie się nie poradziła. O zasadę chodzi.

— A pan — czy pan się radzi?

— Ja? Ja się nie radzę, bo ja mam sam dużo rad do oddania.

Cisza — białe chmurki welonem dziewiczym okrywają niebo. Cisza i spokój. Nad głowami naszemi przelatuje stado wron, kołuje, kracze i łopocze skrzydłami.

Sąsiad podnosi głowę:

— Biedne wronki — głodne — a no nic — da Bóg krówka jaka padnie, to się pożywicie...

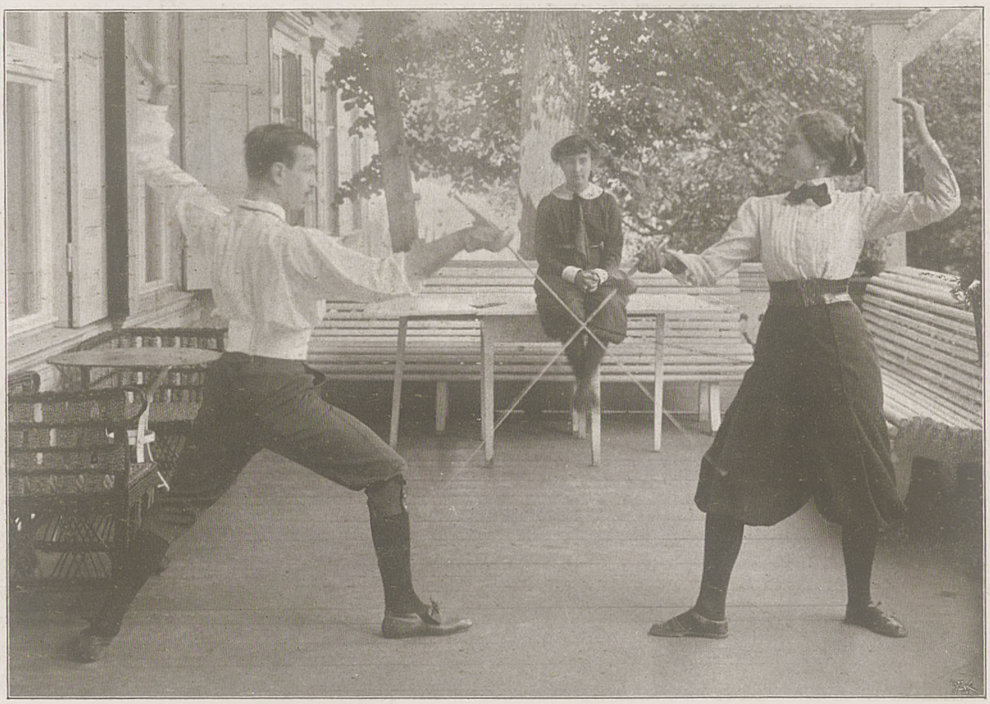
Podnoszę się — zaczyna mi to imponować — ha! jak się ma parękroć w banku...

. . . .

Bez fraka, pary masek i pary floretów nie ruszam się nigdy i nigdzie. Jeżeli tworzenie, jak twierdzi bodaj że Reymont — jest nieszczęściem, rodzajem nieuleczalnej choroby, czemś przykrem, jak katar chroniczny, to fechtunek wciąga więcej stokroć, niż literatura, tworzenie, flirt i wszystkie inne grzechy, razem wzięte.

Najsubtelniejszy i najzdrowszy sport ten — wyrabiający zarówno ciało, jak ducha — hartujący nogi, piersi i ręce — a zarazem nakazujący krew zimną, spokój i energję, każe myśleć i zważać, być ogniem i lodem — niestety, mało jest znany. A czyż może być rozkosz większa nad widok dwuch szpad — dwuch żądeł, snujących się koło siebie w tańcu lubieżnie okrutnym — i radość większa, niż gdy pchnięta, jak sprężyną, czujnem ramieniem, stal klingi napotka pierś przeciwnika. Jeżeli niema nic trudniejszego, jak namówić mnie, bym usiadł przy biurku, a za to nic łatwiejszego, jak od niego odciągnąć — to z drugiej strony, mało jest rzeczy łatwiejszych, niż namówić mnie, bym wziął floret — a nic trudniejszego bodaj, niż zmusić, bym go porzucił.

W Annowie mam dwie pojętne uczennice — zapalne, jak iskry, a uparte, jak szatan, przelewają dusze w klingi — a serca skupiają w oku. Co dzień, od rana do południa, słychać szczęk stali, widać stali błyski. Ja — kreowany na maestro, a od czasu, gdym w drugiem złożeniu zaciętemu burszowi wybił floret z ręki, uznany mistrzem — zapalam się najwięcej, krzyczę najgłośniej, walczę najzacięciej.



Kto zwycięży?

Gospodarz — zawołany fotograf — dbający o konie więcej, niż o gospodarstwo, a o aparat więcej, niż o konie, co chwila szczęka migawką. I jedno tylko, co strachem mnie napawa — panie kategorycznie odmówiły włożenia masek: fryzura... prosiłem — nic, błagałem — nic, krzyczałem — wypchnięto mnie za drzwi. Bowiem prawdą jest, iż mężczyzna może walczyć ze światem i zdobyć świat — lecz w walce z fryzurą — ulegnie.

. . . .

Semigalja... Gdybym miał choć krztę sprytu i źdźbło powagi, przeczytałbym w encyklopedji o niej słów kilkanaście — zaczem, wyszukawszy w encyklopedji (bowiem encyklopedja — to deska zbawienia, rozum i wyrocznia dziennikarza) rolniczej słowo „rolnictwo“ i przeczytawszy pobieżnie artykuł pod niem zamieszczony, a pomówiwszy zatem z pierwszym lepszym Łotyszem słów kilkanaście — siadłbym do biurka (brrr) i chlastnął poważny artykuł o Semigalji, jej historji, stanie obecnym, o ziemiaństwie i ludzie, o gospodarce i psychologji Łotyszów. Nieszczęściem jednak zamiast tego, siadam na konia i jadę przed się — marząc o czasach ubiegłych, o snach minionych... Z prawej strony szumią lasy litewskie, koło których przejeżdżam — żółte kwiaty, które lubię, a których nie znoszą gospodarze, jako pasożytów, nęcą pysk mego konia. Jestem z natury dobry (o ile mi ustępują), a że do tego pragnę zapalić papierosa, więc puszczam mu cugle — niech używa. Myśl moja puszczona wolno, błądzi i skacze... Przywołuję ją do porządku, skupiam się i wytężam pamięć — pragnę sobie bowiem przypomnieć historję przyłączenia Kurlandji i dzieje jej w związku z Rzeczpospolitą, to znów zaczynam marzyć o chwili, gdy pojmę wreszcie, co to znaczy „płodozmian“, bo ród mój tak dawno porzucił już ziemię, iż żadna iskra atawizmu nic nie podpowiada zmanierowanemu poecie stolic — gdy chodzi o kwestje rolnictwa.

Bah! Przeszkoda. Szlaban zapuszczony — trzeba przeczekać — parowe straszydło przeleci — i znów zapomnieć można będzie o miastach, brukach i tak nazywanej cywilizacji.

Czekam — płyną minuty. Z budki dróżnika wygląda oczu para — patrzy ciekawie, z natężeniem. Podsuwam się koniem i dotykam ronda bersaljery. Oczy się kryją — miast nich ukazuje się w drzwiach dorodna kobieta.

— Pan musi być przyjezdny?

Potwierdzam.

— Z rycerskich dóbr Annów zapewne?

— Tak jest—stamtąd. Skąd się domyśliła, żem przyjezdny? Okazuje się, że zdradziło mnie ubranie, a majątek — koń i czaprak. Pięknie.

— Czy pociąg prędko przejedzie?

— Oj, musi być nieprędko, bo wiatr wieje przeciwny. Ot — można zobaczyć — Annuszka, Annuszka, biegaj na szyny — zobacz, czy psiutek pana maszynistego już przyleciawszy, czy jeszcze nie?

Wobec miłej perspektywy, iż z powodu wiatru pociąg nie rychło przejedzie, proszę o podniesienie szlabanu, przyczem wyrażam nadzieję, iż dowiem się, komu zawdzięczam te wszystkie informacje. Postać kobieca znika — a w chwili, gdy mam już przejechać pod podniesionym szlabanem, z okna budki wysuwa się ręka z... biletem wizytowym.

Biorę go i, śląc w głąb okna ręką od ust całusa, przeczytuję. Napis, jak wół:

EUFEMJA KOGUCIEWICZOWA
Konduktorowa Szerokotorowa.

Oto ambicja... To rozumiem.

O Litwo moja!..

. . . .



Wśród jaśminów.
(Fotogr. am. do feljet. „Na pograniczu", wyk. w Annowie przez p. J. Kiewnarskiego).

Wyjeżdżamy w sąsiedztwo. Krassowski, najsprytniejszy z totumfackich, goli mnie starannie, ponieważ lokaj Krzyś wynalazł nowy sposób golenia, polegający na skalpowaniu delikwenta.

A więc dyplomatyczne stosunki z Krzysiem zerwane, nawiązane zaś z Krassowskim. Człowiek to uniwersalny: strzyże owce, naprawia dachy, reperuje zegarki i parasole, rznie barany, kuje konie, no i... goli.

— Ach! Zaciął Krassowski...

— Nic, proszę łaski panicza — ino gdzie ciała były nierówne, tom troszki odciął.

Trudno nie przyznać słuszności takiej replice.

. . . .

Jaśminy kwitną. Odurzająca fala woni spływa na ziemię — aromat przecudny, tak czarownie upajający...

Ale już czas, trzeba iść do salonu i zagrać w preferka. Żegnaj jaśminie — kwiecie wdzięku dziewiczego — kwiecie marzeń czarownych. Żegnaj, tak jak żegnać cię będę wsi niewinna, wsi wesoła, by wszystkie wrażenia topić znów w rozgwarze kawiarni i zgiełku miasta...

Annów, czerwiec 1913. *Władysław Ludwik Evert.*

TREŚĆ ZESZYTU XVIII-go:

PRENUMERATĘ NA „WIEŚ I DWÓR" NAJLEPIEJ NADSYŁAĆ WPROST DO REDAKCJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 129.

Warunki prenumeraty dwutygodnika „WIEŚ i DWÓR" łącznie z dodatkami „Sport i Hodowla":

W Warszawie z odnoszeniem do domu:
rocznie rb. 10.— półrocznie rb. 5.— kwart. rb. 2.50

Za granicą i za oceanem z przes. pocztową:
rocznie rb. 14.— półrocznie rb. 7.— kwart. rb. 3.50

W Królestwie i Cesarstwie z przes. pocztową:
rocznie rb. 12.— półrocznie rb. 6.— kwart. rb. 3.—

Cena pojedynczego zeszytu **60** kop., z przesyłką i na stacjach kolejowych **75** kop.

Prenumeratę na „Wieś i Dwór" przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie, biura dzienników w kraju i zagranicą i Redakcja „Wsi i Dworu", Marszałkowska 129, w Warszawie. Telefon 217-41.

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem:		Po tekście:	
1 strona	rb. 120	1 strona	rb. 100
½ strony	„ 65	½ strony	„ 55
¼ „	„ 35	¼ „	„ 30
⅛ „	„ 20	⅛ „	„ 16
1/16 „	„ 10	1/16 „	„ 8

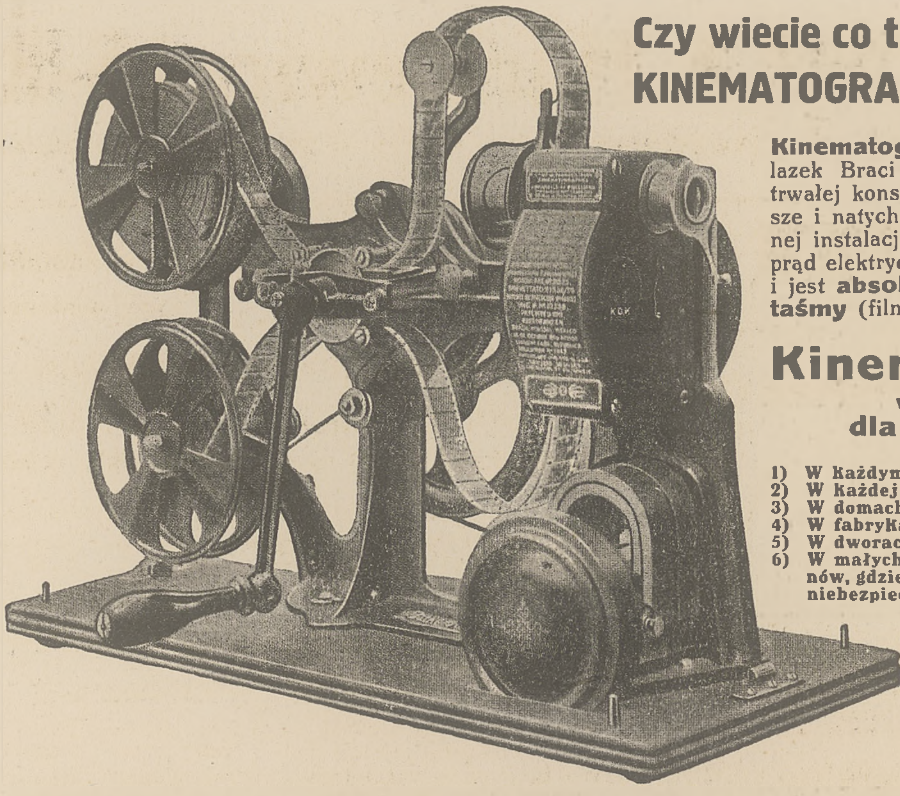
Okładka zewnętrzna tylko w całości 150 rb. Ogłoszenia na specjalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencję zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną należy adresować:
Redakcja „WIEŚ i DWÓR" ul. Marszałkowska 129 w Warszawie.

Redaktor: **T. Jaroszyński.** Współredaktor: **Walenty Zieliński.** Wydawca: **Bolesław Schoen.**

Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.

Czy wiecie co to KINEMATOGRAF „KOK"?



Kinematograf KOK jest to idealny wynalazek Braci Pathé w Paryżu, prostej lecz trwałej konstrukcji, w dostępnej cenie, zawsze i natychmiast gotów do użytku bez żadnej instalacji, sam sobie wytwarza chłodny prąd elektryczny do małej elektrycznej lampki i jest **absolutnie bezpieczny,** ponieważ **taśmy** (filmy) **KOK** są **niepalne** i dlatego

Kinematograf KOK

winien się znajdować
dla rozrywki i nauki

1) W każdym zamożnym domu.
2) W każdej szkole.
3) W domach ludowych, klubach, resursach.
4) W fabrykach dla robotników.
5) W dworach dla siebie i ludzi swoich.
6) W małych miasteczkach i osadach dla illuzjonów, gdzie drogie aparaty i kosztowne a jednak niebezpieczne instalacje się opłacić nie mogą.

Cena Kinematografu KOK Rub. 175.

Przedstawicielstwo i Główny Skład na Królestwo Polskie

ADAM KLIMKIEWICZ

Warszawa — Marszałkowska № 139, I-sze piętro.
TELEFON 227-22.

Dla rodzin



najodpowiedniejsze
są

· Pathéfony ·

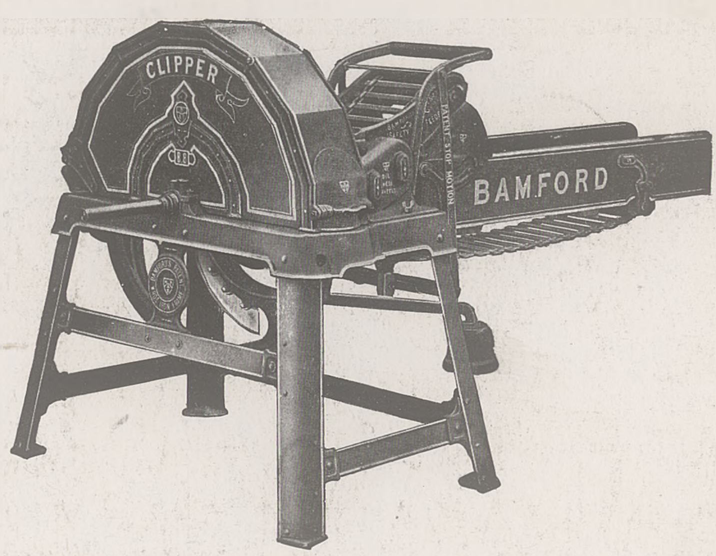
bo grają bez ostrych igieł które są kosztowne niszczą płyty i stanowią niebezpieczeństwo dla dzieci — bo grają wieczną kulką szafirową czysto, głośno, naturalnie i pozwalają grać do tańca bez przerwy, nie niszczą płyt.

Specyalny repertuar
dla dzieci.

Główny skład Pathéfonów
Adam Klimkiewicz,
Warszawa, Wierzbowa 8.
Cenniki repertuary i warunki
— bezpłatnie. —

Składy Pathéfonów we wszystkich miastach Królestwa Polskiego

ANGIELSKIE SIECZKARNIE BAMFORDA.



Sieczkarnie, używane w Anglji, muszą być podług prawa zaopatrzone w samopodawacz, ochronę na koło nożowe i automatyczny bezpiecznik. U nas te rzeczy, dotąd mało znane, bardzo prędko wejdą w ogólne użycie.

Samopodawacz, widoczny na rysunku, składa się z 2 giętkich drabinek, bez końca, zbudowanych z drzewa i żelaza, górnej i dolnej. Obie drabinki poruszane są przez mechanizm sieczkarni w ten sposób, że słomę wrzuconą na ladę, stopniowo ściskają i wciągają automatycznie w gardło maszyny. Zależnie od ilości podanej słomy, waga podnosi się mniej lub więcej. Gdy podać za dużo, wtedy waga podniesie się wyżej, niż normalnie i, za pomocą drążka, widocznego na rysunku, automatycznie podnosi dźwignię bezpieczeństwa i kierunek biegu maszyny odwraca. Nadmiar słomy zostaje przez sieczkarnię automatycznie wyrzucony.

Urządzenie to oddaje usługi wprost znakomite, gdyż:

1) powiększa znacznie wydajność maszyny,
2) zabezpiecza robotników od kalectwa. Słomę wystarcza rzucić na ruchomą drabinkę bez potrzeby popychania, jak u zwykłej sieczkarni, lub też u sieczkarni z t. zw. elewatorem,
3) zabezpiecza sieczkarnię od uszkodzeń wskutek niedbałego lub nieumiejętnego podawania.

CENNIKI I OPISY BEZPŁATNIE.

IGNACY TUKAŁŁO
OSCIUKOWICZE
POCZ. TEL. ILIJA GUB. WILEN.
ST. KOLEJ. MOŁODECZNO.

Do Towarzystwa Akcyjnego
Tadeusz Kowalski i A. Trylski
w Warszawie

Jestem zupełnie zadowolony z nabytej u WPanów dużej trzykosowej sieczkarni Bamforda. Jest solidnie i dokładnie wykończona, sądzę też że będzie trwała. Przy sześciu koniach w kieracie, daje moc niezmierną sieczki. Miałem i mam dużo sieczkarń rozmaitych, lecz ta sieczkarnia Bamforda wydaje się mnie nie tylko równą, lecz nawet lepszą od innych. Chcę jeszcze zaznaczyć, że przyrząd bezpieczeństwa jest bardzo dowcipny i ocalił u mnie człowieka od kalectwa. Maszyna pochwyciła rękę podawacza, ten zaś chcąc nie chcąc musiał się oprzeć o przyrząd, maszyna natychmiast poszła wstecz i podawacz wyciągnął rękę nieuszkodzoną.

Z poważaniem

20-11-1912

Ignacy Tukałło

WYŁĄCZNY PRZEDSTAWICIEL

Tow. Akc. Tadeusz Kowalski i A. Trylski

WARSZAWA—WILNO

Miodowa 4. Ś-to Jerska 32.

Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.